

Kazimierz Ryś
OBRONA
LWOWA
W ROKU 1939

Biblioteka Orła Białego
Sekcja Wydawnicza APW
[Armii Polskiej na Wschodzie]
Oddział Propagandy i Oświaty
APW
Palestyna 1943.
[str. 48]

egzemplarz z księgozbioru
Wisi Schwieters
Auckland, Nowa Zelandia

SPIS RZECZY

Słowo wstępne.

Położenie ogólne.

Organizacja obrony.

Przebieg walki.

Sily nasze rosna.

Obsada odcinków.

Lwów działa zaczepnie.

Lwów pomaga 10 B. K.

Akcja na Brzuchowice.

Sytuacja w mieście.

Bolszewicy stanęli pod

Lwowem.



część I



SŁOWO WSTĘPNE

Udział Lwowa w walce z Niemcami w r. 1939 mało jest znany szerokiemu ogółowi. Tak się jakoś złożyło, że nie znalazły się pióra, które by opisały epopeę tego miasta, a Lwów się bił przecież, przez 10 dni stawiał czoło wrogowi i jest może jedynym miastem, którego Niemcy nie potrafili zdobyć, choć je oblegali i tak bardzo chcieli je opanować.

Dziesięć dni, nie tak wiele, zapewne, ale to 10 dni wojny błyskawicznej. W 10 dni waliły się państwa w tych czasach. W 5 dni Holandia została zajęta. W 10 dni przeszli Niemcy przez Holandię, Belgię i Francję i dotarli aż pod Amiens na wysokości Paryża. W 7 dni został złamany opór Jugosławii. W 4 dni doszli Niemcy w r. 1941 do granicy polsko-bolszewickiej na północy Polski. W 10 dni odebrali bolszewikom połowę Polski, tzn. wszystko co okupowali, choć broniło jej około 160 w. j. sowieckich i umocnienia połowe budowane przez półtora roku. W 10 -dni dotarli Niemcy z nad wschodniej granicy polskiej do Dniepru, przebijając system fortyfikacji Stalina, budowany przez 20 lat, ale w 10 dni nie zdobyli Lwowa. Lwów bronił się 10 dni, a byłby się bronił znacznie dłużej, gdyby nie sprzymierzeńcy Hitlera, którzy w wielkiej sile podeszli pod miasto.

Trzeba więc dać świadectwo prawdzie. Trzeba pokazać tę wolę, z jaką miasto walczyło, te cierpienia, przez które przeszło i te zawody, jakich doświadczyło. Jest to obowiązkiem wobec tego miasta „Semper Fidelis” Rzeczypospolitej, wobec tych, co się tam bili i albo legli w walce przeciw Niemcom, albo zostali zabrani przez ich sprzymierzeńców i więcej nie wrócą do Lwowa. Jest to obowiązek wobec historii.

Spełniając ten obowiązek, daję opis obrony, odtworzony na podstawie osobistych wspomnień i relacyj pewnej ilości uczestników walki. Opis ten nie jest ani zupełny, ani wyczerpujący. Są w nim na pewno duże luki, są też, być może, błędy i niedokładności. Usunąć je można jedynie na podstawie materiału

dostarczonego przez uczestników i naocznych świadków.

Zwracam się więc do nich wszystkich z prośbą o nadsyłanie do Biura Historycznego swych uwag, sprostowań i relacji. Wcale nie muszą to być opisy całości działań, wystarczą fragmenty i szczegóły podające np. nazwiska dowódców, nazwy jednostek, przebieg działania w określonym miejscu i czasie jakiegoś oddziału, nastroje itp.

Jest to obowiązek, który trzeba wykonać.

Autor

POŁOŻENIE OGÓLNE

Lwów znalazł się w ogniu walki niespodziewanie, nie przygotowany do niej — leżał przecież na głębokich tyłach w stosunku -do frontu zachodniego. Ale front ten szybko zbliżał się do niego. Uderzenie Niemców ze Słowacji, oskrzydlające Małopolskę aż po San, odepchnęło nasze wojska od Karpat i droga na Lwów stała się otworem. Zmotoryzowane jednostki niemieckie lada dzień mogły stanąć pod miastem przepelnionym tłumami uchodźców i mnóstwem instytucyj ewakuowanych ze stolicy i w ogóle z zachodu.

Gen. Sosnkowski, który w tym czasie przybył do Lwowa, nakazał przystąpić do zorganizowania obrony. Miała ona objąć: Lwów, jako rdzeń rejonu obronnego, na zachodzie linię Wereszycy z przejściami w Gródku Jagiellońskim i Janowie, na północy rejon Żółkwi, na południu Chodorowa.

Chodziło o to, by stworzyć warunki oparcia dla naszych wojsk, w szczególności dla armii gen. Fabrycego i gen. Szyllinga, które, wycofując się z zachodu, mogłyby się tu zebrać i zorganizować do dalszego działania. Ale npl, wskutek oskrzydlenia od południa, mógł się zjawić pod Lwowem wcześniej, niż własne oddziały. Obrona więc powinna go powstrzymać i bić się tak długo, aż nasze wojska nadciągną. Dowództwo nad tym rejonem obronnym objął gen. Prich, zaś gen. Sosnkowski opuścił Lwów dnia 13 września rano i udał się samolotem do Przemyśla, by objąć tam dowództwo grupy, złożonej z 11 D.P., 24 D.P. i 38 D.P. rez.

Obrona rejonu Lwowa nie istniała długo; zlikwidowały ją wypadki i gen. Prich po kilku dniach energicznego działania rozwiązał swój sztab. Pozostała tylko obrona samego Lwowa ze swoim dowództwem, zależnym od gen. Langnera, d-cy VI Korpusu, któremu podlegały ponadto oddziały, znajdujące się poza miastem. Dowódcą obrony miasta został płk. Fijałkowski, a następnie gen. Sikorski Fr.

Wszystko, co dotyczy obrony Lwowa, było jedną wielką

improwizacją. Improwizacją było tworzenie dowództwa, które formowano z ludzi, jacy się przypadkowo nawinęli. Wielu z nich nie pracowało nigdy w sztabach i nie znało tej roboty. Improwizacją było ustalanie planu obrony i obsadzanie stanowisk obronnych. Oddziały również były improwizowane, formowane naprędce z ludzi, którzy mogli i chcieli się bić.

Były tam oddziały Obrony Narodowej, asystencyjne, wartownicze, policji itp. Napływały już w czasie walki różne formacje rezerwowe, ale z reguły były to strzepy jednostek, zniszczonych w poprzednich walkach lub oddziały, zbite fizycznie i moralnie przez bombardowanie w czasie wielodniowych transportów. Wszystkie miały duże braki w uzbrojeniu i w wyekwipowaniu.

ORGANIZACJA OBRONY

Do organizacji obrony miasta przystąpiono dnia 10.IX., a zaczęło się to w ten sposób:

Koło południa spotykam mego kolegę pplk. dypl. Bieńkowskiego Kazimierza, który ucieszony z tego spotkania zwraca się do mnie: „Czy wiesz jaka jest sytuacja? Dziś, jutro mogą tu być Niemcy. Trzeba się będzie bronić. Ja jestem szefem Sztabu Obrony Rejonu Lwowa. Bierz szefostwo sztabu obrony miasta. Do dyspozycji będziesz miał jeden baon i 16 dział, niewiele, ale w tej chwili nie ma więcej”.

Propozycję tę przyjąłem bez wahania i lecę do Sokoły Kadeckiej, gdzie jest kwatera personelu, ewakuowanego z Warszawy, Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego. Jestem szefem tej instytucji, więc muszę dać jej jakieś zarządzenia. W wytworzonych warunkach nie ma ona żadnych możliwości prowadzenia prac, należących do jej obowiązków. Postanawiam więc cały personel, w którym przeważały kobiety i urzędnicy cywilni, wysłać z przeludnionego Lwowa na południowy wschód, by tam czekał dalszych wydarzeń. Sam zaś wybrałem się wojować, zabierając ze sobą dwóch oficerów, mianowicie majora Kencboka i kpt. Kasperskiego. Obydwaj przez cały czas walk pracowali niestrudzenie w sztabie obrony miasta.

Po szybkim załatwieniu tych spraw przystępuję do ustalenia planu obrony. Sprawa nie taka prosta, bo czasu jest bardzo mało, przestrzeń do obrony duża, a siły niesłychanie nikłe. Gdzie organizować obronę? Są sugestie, by się zamknąć wewnątrz miasta i bronić każdego progu, ale w tym wypadku trzeba by zablokować tak wielką ilość ulic i obsadzić tyle punktów, że nie starczy sił na to. Już choćby ten jeden wzgląd każe szukać innego rozwiązania.

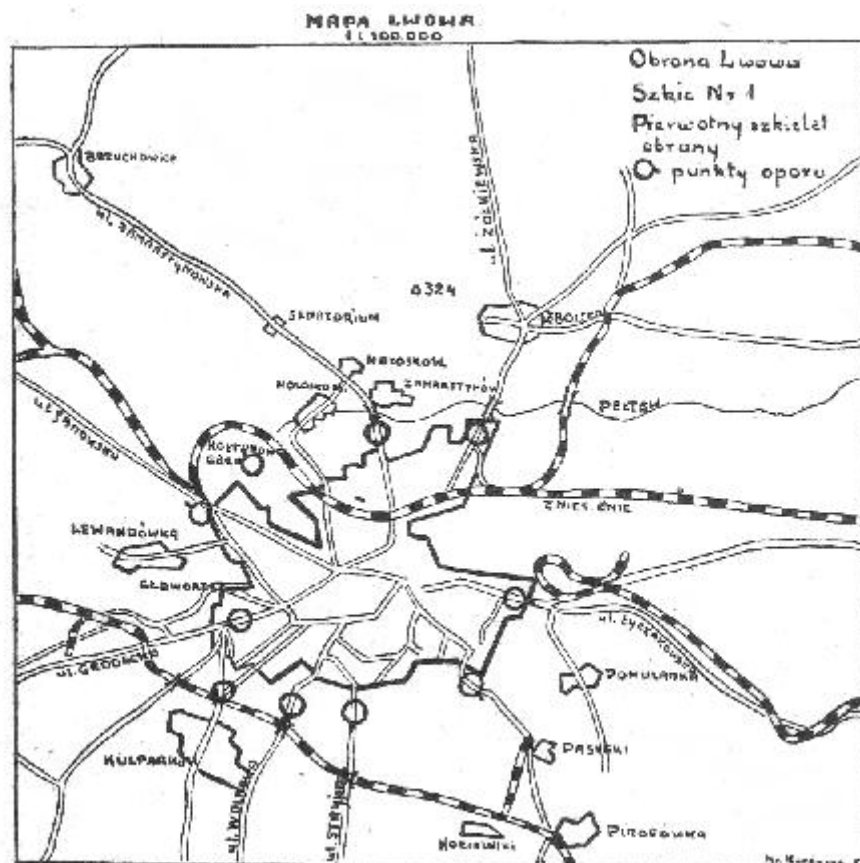
Niemcy tu przyjdą z czołgami i oddziałami zmotoryzowanymi, przeciwko więc maszynom trzeba tworzyć zapory na kierunkach, z których mogą nadciągnąć. Studium terenu wskazuje, gdzie te

zapory budować: na północy biegnie na pewnej przestrzeni tor kolejowy w poważnym wkopie o betonowych stromych ścianach, dalej płynie Peltew głębokim korytem. Południową część miasta obramowuje też głęboki wykop toru kolejowego. Są to przeszkody, przez które nie przejdą ani czołgi, ani tym bardziej inne wozy mechaniczne inaczej, jak tylko po mostach.. Mosty te zamkniemy.

Od zachodu, skąd nieprzyjaciół przede wszystkim przyjdzie, nie ma żadnych przeszkód. Tu sytuacja najtrudniejsza, ale z tego kierunku prowadzi tylko jedna szosa, wchodząca w ul. Gródecką.

Na czym będzie polegała obrona?

Zamknie się punktami oporu ul. Gródecką i wszystkie dojścia na płd. i płn. od miasta. Stronę wschodnią obsadzi -się później. Każdy z tych punktów, a jest ich w sumie dziewięć, otrzyma jako obsadę 1—2 działonów i oddział piechoty w sile od drużyny do plutonu. Obsada od zachodu będzie najsilniejsza. (Szkic nr. 1).



W tej chwili nie ma odwodu, trzeba go będzie stworzyć jakimś cudem. Może Niemcy nie przyjdą jeszcze dziś lub jutro. Tak pomyślana obrona została zatwierdzona i nadany j jej zarys utrzymał się z niewielkimi zmianami do końca.

Teraz wykonanie. D-ca baonu 26 p. p., mjr. Ślepecki, otrzymuje rozkaz wyznaczenia grup bojowych i wysłania ich na oznaczone punkty. Kierownik robót technicznych magistratu zmobilizuje

robotników z narzędziami F wysła ich na punkty oporu. Tam wykonują barykady i inne przeszkody przeciwzołgowe według instrukcji, jakie otrzymają na miejscu.

Pozostaje jeszcze artyleria. Dowodzi nią płk. Schrötter. Jego m. p. jest w koszarach Arciszewskiego. Udaję się tam, krótko przedstawiam sytuację, plan działania i zadania artylerii. 'Nie ma czasu na dyskusję. Jest już około 17 godziny, niedługo zapadnie zmrok, a przed wieczorem trzeba określić w terenie stanowiska dział i punktów oporu. Okazuj e się, że baterie znajdują się ,poza miastem. Nie ma czasu na ściąganie ich dowódców, więc płk. Schrötter pisze rozkaz, nakazujący poszczególnym działom, plutonom i bateriom zająć stanowiska określone na mapie. Następnie zabieramy kilku oficerów i podchorążych, znajdujących się na miejscu, i jedziemy w teren. Zaczynamy od ul. Gródeckiej. Tu na wysokości remizy tramwajowej — wybieramy stanowiska dla dział i piechoty.

Mają one zadanie bronić dostępu od zachodu wzdłuż ulicy Gródeckiej i flankować dwie ulice, które tu dochodzą z kierunku południowo-zachodniego. Przed punktem oporu znajduje się potężny lej na środku ulicy, zrobiony przez niemiecką bombę lotniczą. W tym miejscu będzie wykonana barykada. Ponadto wykopie się rów przeciwzołgowy między kamienicami, by nie mogła dostać się tu broń pancerna npla przez ogrody.

Wszystkie te dyspozycje otrzymuje jeden z oficerów, który z nami przyjechał. Będzie on czekał na miejscu, aż do przyścia oddziałów i robotników i powtórzy im otrzymane rozkazy. Następnie jedziemy na ul. Janowską, Zamarstynowską i Żółkiewską. Wszędzie określono stanowiska dział, piechoty, miejsca barykad i wszędzie pozostawiono oficera lub podchorążego, którzy mieli otrzymane rozkazy przekazać oddziałom.

Zapadła noc. Nie udało się objechać wszystkich punktów oporu. Dnia 11.IX. rano z płk. Fijałkowskim skontrolowaliśmy większą część stanowisk. Wszystkie już były obsadzone i większość miała barykady.

Na ul. Gródecką przybyliśmy w chwili alarmu lotniczego. Bomby rzucone na dworzec wybuchły w pobliżu stanowisk obronnych naszej piechoty. Był to pluton por. Chmury z i komp. baonu mjr. Ślepeckiego. Na szczęście nie poniósł żadnych strat.

Po południu dnia 12.IX. przystąpiłem z saperem płk» Staiferem do określenia w terenie wewnętrznej linii obronnej, jak tego sobie życzył gen. Sosnkowski. Była ona potrzebna. Chodziło o to, by na wypadek przedarcia się npla przez obronę zewnętrzną, —trafil on wewnątrz na zorganizowany opór.

W trakcie tej pracy, gdy znajdowaliśmy się w rejonie remizy tramwajowej przy ul. Pelczyńskie j, gruchnęła wieść, że czołgi niemieckie weszły do miasta. Wiadomość denerwująca. Próbujemy

dworzec i na ulicę, co skośnie dochodzi do Gródeckiej od strony południowej. Mało jest tej piechoty, na lewo musi się ona pilnować od strony ogrodów, a na prawo nie ma już kim zamknąć dojść od dworca kolejowego. Wykona to zapasowa obsługa dział, która będzie pełniła funkcję piechoty do czasu, aż jej każą zluźnić tych, co padną przy armatach. Wszyscy już są gotowi, czekają podnieceni. Jeszcze nie widać, ale już słychać huk motorów, który rośnie, potężnieje, zbliża się. Są — z zakrętu wyskakują dwa motocykle, za nimi następne oraz samochód pancerny.

Dlaczego ta artyleria nie strzela, denerwuje się pchor. Gruszecki i ma o to pretensję do pchr. Lauterbacha, dowódcy jednego z działonów. A artyleria rzeczywiście nie strzela. Ppor. Panek nie daje rozkazu do otwarcia ognia, czeka, by Niemcy podjechali bliżej barykady. Podjechali wreszcie, wtedy pada komenda: "ognia", "oddano" raz, drugi i trzeci. Skutek niezawodny: jeden motocyklista wyrzucony na barykadę, na jezdni leżą dwa motocykle i samochód pancerny rozbity, a kiedy za chwilę wyłonił się czołg, trafiony celnymi strzałami, zatarasował ulicę swym bezwładnym cieleciem.

Lwów rozpoczął swą bitwę z Niemcami... Zagotowało się na ulicy Gródeckiej. Podjeżdża znowu broń pancerna, piechota wyladowuje się z wozów i wciska się za wszelkie załamania murów. Od domu do domu przesuwa się na lewo w ogrody, ciągnąc za sobą broń ciężką. Otworzył się piekło ognia. Niemcy swój kierują przede wszystkim na nasze 2 działa. Biją w nie z armat swych czołgów, z moździerzy, z broni maszynowej. Ppor. Panek odpowiada, śle pocisk za pociskiem bez żadnych zacięć. Ale przychodzą zacięcia: pada kanonier jeden i drugi, wreszcie większość obsługi dział jest wybita. — Milkną oba na chwilę. Przerwa nie trwa długo, bo na miejsce tych, co legli, wchodzi inni — obsługa zapasowa — i działa strzelają znowu.

Ppor. Panek ranny, ale ogień prowadzi dalej, bije się jeszcze i wówczas, gdy dostaje ciężką ranę w głowę. Trwa mimo wszystko, nie puści tędy Niemców.

Ranny jest również pchor. Gruszecki, który swoim starym, psującym się coraz „Maximem” powstrzymuje piechotę niemiecką. Nie okazuje ona nadmiernego męstwa, gdzie jej czołg lub ogień nie otworzy drogi, nie pcha się zbyt twardo.

Ogień rozszerza się coraz bardziej. Sytuacja staje się poważna, meldunki z pola walki brzmią niepokojąco: obsada ulicy Gródeckiej cofa się. Niemcy dochodzą do kościoła św. Elżbiety. Palą się składy koło Dworca Głównego. Dworzec się jeszcze broni. '

Kortumowa Góra zajęta...

Na ulicy 29'Listopada Niemcy...

Płyną takie meldunki, a dowództwo obrony nie ma żadnych

odwodów. Jeśli Niemcy zdołają przełamać cienką naszą linię, miasto będzie zdobyte, bo nie ma nikogo, kogo by postawić jako następną zaporę na ich drodze.

Wytrzymają, czy nie wytrzymają? Zwycięży germańska przewaga liczebna, czy determinacja i wola garści walczących Polaków?

Zwyciężyła nasza wola w walce z drugą pancerną dywizją, bo z nią się właśnie bijemy.

Szkielet obrony, stworzony naprędce wzmacnia się już w czasie samej walki. Wypełniają go różne grupy i oddziały, które śpieszą samorzutnie tam, gdzie najpilniejsza jest tego potrzeba. W okolicy ul. Gródeckiej zjawia się oddział policji, dalej na południe jakiś major bije się na czele strzepów jakiegoś baonu. Na lewo od niego dołączyły oddziały Obrony Narodowej i grupki kadetów.

Kiedy napięcie walki dochodzi do szczytu, wkracza do miasta mjr. Kraus na czele baonu 205 p. p. Wylądował się w Dublanach i około godz. 20. znalazł się przy zbiegu ulic Gródeckiej z Janowską. Tu poinformowany o położeniu, wysłał od razu 4. kompanię na ul. Kleparowską, 5. na Janowską, a 6. z 2 ckm. na ul. Gródecką.

Idą te kompanie pustymi ulicami, na których rwą się pociski artyleryjskie. Przerażliwa detonacja działa denerwująco na ludzi. Kompanię 6. prowadzi ppor. Majewski. Ten ma najcięższą drogę, ale dochodzi szczęśliwie do punktu oporu na ul. Gródeckiej. Mija zabitych kanonierów, orientuje się szybko w położeniu i rozwija się tak, by mógł zamknąć dojście do miasta przez wolną przestrzeń ogrodów. Nawiązuje łączność bezpośrednio z sąsiadem na lewo i ogniową z kolejarzami, powstrzymującymi Niemców od strony Lewandówki.

Artyleria daje mu się we znaki, ale wytrzymuje. Oddziały nasze walczą bez bezpośredniego wsparcia artylerii. Mimo to wszystkie natarcia Niemców zostały odparte. Co więcej, major, bijący się na południe od Gródeckiej, melduje, że zamierza przejść do przeciwnatarcia, by wyrzucić Niemców, którzy się wdarli w ogrody. Ruszył rzeczywiście naprzód, ale, zalany gwałtowną koncentracją ogniową, poniósł duże straty i wycofał się na podstawę wyjściową.

Jakieś oddziały niemieckie znalazły się w rejonie Kortumowej Góry, która zamyka wylot ul. Janowskiej i panuje nad znaczną częścią miasta. Brakło sił, by ją mocno obsadzić od razu. Była tam zaledwie jedna drużyna: Niemcy więc zajęli górę i próbują przecisnąć się w kierunku Kleparowa i ul. Janowskiej. Zostali powstrzymani.

Noc już była głęboka, a jeszcze broń maszynowa trajkotała tu i ówdzie, ale walka powoli gasła, a już losy miasta wisiały na włosku. Siły walczyły nierówne. Tu garść improwizowanych oddziałów, tam druga dywizja pancerna. Rachunek i logika mówiły, że

przewaga fizyczna chyba zdecyduje, ale walka to nie tylko logika i rachunek, — to przede wszystkim serce i wola wytrwania. Ta wola oparła się Niemcom.

Dnia 13.IX. npl opukuje miasto. Uderza w różnych punktach, na j niebezpiecznie j wzdłuż ul. 29 Listopada, którą dochodzi do ul. Szymonowiczów. Natarcie idzie również ul. Stryjską i zbliża się już do zabudowań Szkoły Kadeckiej.

W związku z tym 6. komp. dostaje rozkaz przejść z rej. ul. Gródeckiej na ul. 29 Listopada. Niechętnie tam idą, już się tu urządzili, już wiedzą skąd może co grozić, każdy zna teren wokół, ale rozkaz trzeba wykonać.

Już są w nowym rejonie, na wysokości ul. Dunin-Borkowskich i natychmiast przechodzą do akcji. Właśnie w tej chwili mają przed sobą kolumny Niemców. Biją w nich ze swoich dwóch maszynek. Skutek natychmiastowy: Niemcy zatrzymani, widać, jak wrastają w ziemię. Kompania się szybko urządza. Na lewo idą patrole i przeszukują wąwozy, jakie się tam ciągną. Z tej strony nie ma własnych oddziałów. Tu się więc ubezpieczają. Na prawo spotykają oddziały Obrony Narodowej i harcerzy w szkole Sienkiewicza. Spodziewają się czołgów, więc butelki z benzyną stoją w pogotowiu. Postarał się o nie pchr. Raabe, który przywiózł również chleb z opuszczonej piekarni, zajętej rzekomo przez Niemców. Z wyżywieniem są pewne trudności, ale pokonują je przy pomocy o. jezuitów, którzy robią co mogą, by głodnych nakarmić. Śpieszą również z pomocą sanitarną, a jest już kilku rannych.

Daje się im we znaki dywersja: ktoś z tyłu strzela do walczących żołnierzy. Powtarza się to raz po raz. Nie można tego cierpieć, więc d-ca kompanii daje rozkaz opróżnić sąsiednie budynki z mieszkańców. Rozkaz wykonano i od razu pomogło.

Po południu dnia 14.IX. wyszło natarcie niemieckie i pcha się wzdłuż ulic Gipsowej i 29 Listopada. Od strony Kulparkowa posuwają się również, prowadzeni przez ogień artylerii. Biją nawałami, jedna z nich wyrznęła w klasztor Jezuitów. Są ranni i zabici. Idą naprzód na szerokim odcinku, ale rozpęd ich łamie się w ogniu naszej piechoty. Natarcie powstrzymane. Lewe nasze skrzydło podrywa się i przeciwuderza, pędzi przed sobą Niemców, dochodzi do toru kolejowego, przekracza go i naciera dalej, aby odebrać Kulparków. Wysunęło się ono znacznie na przedpole Lwowa. Dowódca 6-ej komp. postanawia wobec tego przesunąć się naprzód o dwie ulice, by zrównać się z nimi. Pójdzie w nocy, bo w dzień nie przejdzie ulicami, po których siecze ogień przeciwnika. Pójdzie tylko z jednym plutonem, rozpozna położenie, zajmie stanowiska, a reszta kompanii dołączy się nad ranem.

Poszli ulicą Gipsową, idą ostrożnie w ciemności, skradają się jak koty, bo z za każdego węgla może zaszczekać karabin. Dotarli do ul. Kniaziewicza. Przed nimi grupka domów, a dalej otwarte pole i tor kolejowy. Weszli do tej grupy domów. Wysyłają patrole na boki i przed siebie.

Cisza. Słyszeć kroki. To wraca jeden patrol. Kiedy dowódca jego przekracza ulicę, pada zasypywany gradem pocisków. Trafiły go, ale żyje. Trzeba go ratować. Pchor. Raabe podskakuje do niego, lecz wali się przy nim ranny. Wyczołgał się z powrotem sam, tamtego nie wyniósł. Pocisk przeszył mu pierś i przeszedł tuż w pobliżu serca. Opatrzyli go, jak umieli. Żyje i trzyma się dobrze. Do leżącego na środku ulicy niesposób dostąpić, tak biją po jezdni. Jeden karabin strzela od północy wzdłuż, ul. Kniaziewicza, a dwa od zachodu, wzdłuż Gipsowej. Ten ogień krzyżowy odcina pluton od jego kompanii.

Ppor. Majewski postanawia się bronić w wysuniętej grupie domów i czekać na przyście kompanii. Świta, robi się dzień. Przed plutonem otwarte pole, a na nim widać Niemców, z tyłu ogień odcinający mu odwrót.

Dlaczego ta kompania nie przychodzi, pytają zniecierpliwieni ludzie, zlikwidowałyby karabin na ul. Kniaziewicza i uwolniła nas z tej pułapki. Ale kompania nie przyjdzie. Nie puszcza jej mjr. Strowski, d-ca odcinka, bo grozi ogólne natarcie. Od ul. Gródeckiej słycać warkot motorów, pewno lada chwila wywałą się czołgi. Trzeba być w pogotowiu i trzymać wszystkie siły w garści. A pluton strasznie cierpi, biją po nim moździerze, artyleria i ogień piechoty. Każda chwila niesie nowe straty. Coś trzeba radzić, bo inaczej wszystkich ich wybiją. Niesposób się wycofać, bo trzeba by przebiec ze dwieście metrów w ogniu maszynowym.

Ppor. Majewski każe ludziom wejść do piwnic, sam będzie obserwował przedpole — on i pchor. Raabe, ten z przestrzeloną pierśią. Tak chcą przetrwać do nocy, jeszcze kilka godzin, ale nie przetrwają. Już idzie na nich natarcie, a ich tylko garstka, nie więcej niż połowa została z plutonu. Zapada więc decyzja: przebijemy się przez ogień niemiecki, przejdziemy do swoich. Wyskoczyli na plac otwarty i wałą, ile tchu w piersi starczy, a za nimi grad pocisków goni i kładzie ich na jezdni. Wyszło zaledwie kilku, wśród nich d-ca kompanii ze zdruzgotaną prawą ręką i pchor. Raabe.

**

Od strony północno-zachodniej grozi duże niebezpieczeństwo. Opanowanie Kortumowej Góry wyprowadziłoby Niemców na tyły obrony ul. Gródeckiej i otwarłoby drogę w samo serce miasta. Tędy też usiłują się wdrzeć. Nacierają od Lewandówki na Dworzec Główny, wzdłuż ul. Janowskiej i z Kortumowej Góry. Już dnia 12. macali ten kierunek, 13. próbują przebić się tędy do miasta.

Siły nasze w tym rejonie są nikłe: jedna komp. 205 p. p. i pluton 26 p. p., do którego dołączył pluton por. Chmury, ściągnięty z ul. Gródeckiej. Oddziały te nie powstrzymają natarcia Niemców, którzy przewyższają nas potęgą ognia, mają bowiem silne wsparcie artylerii i licznej broni ciężkiej piechoty. U nas jeszcze nie ma artylerii bezpośredniego wsparcia. Niemcy posuwają się naprzód,

położenie staje się niebezpieczne.

D-two obrony szuka więc oddziałów, aby je tam rzucić. W nocy z 12 na 13 wylądował się na Podzamczu baon, zdaje się 106 p. p., sformowany w Wilnie z żołnierzy leg. 5. i 6. p. p. leg. Skierowano go do odwodu w rejonie uniwersytetu, a rano dano mu rozkaz wkroczenia do akcji. Przesuwa się więc w kierunku Dworca Głównego, mija go i rozwija się frontem do Lewandówki. Tu się dostaje od razu pod silny ogień artylerii, ponosi pewne straty i około godz. 9 zaczyna się cofać, ale dworca nie oddaje nplowi. Po całodziennej walce zostały z niego resztki, nie przekraczające siły jednej kompanii.

Skierowano tu również l. komp. Obrony Lwowa z kpt. Dubińskim. Idzie ona ul. Pierackiego i wychodzi w rejon koszar 6 dyonu samochodowego. Niemcy przechodzą właśnie do natarcia — poprzedzając je silną koncentracją ogniową. Biją przede wszystkim na stoki Kortumowej Góry i na przedpole cmentarza Janowskiego. Z lewej strony szosy Janowskiej raz po raz odzywa się broń maszynowa, ustawiona zdradliwie za betonowym parkanem, w którym Niemcy wybili otwory na lufy.

Kpt. Dubiński podciąga kompanię tak, by zamknąć nią ul. Janowską. Na lewo ma ogródek okolony płotem z siatki drucianej, przed sobą w odległości może 300 m most nad torami, przez który mogą przyjechać czołgi, na prawo od drogi piękne domki z powybijanymi szybami. Najbardziej obawia się czołgów, bo nie ma broni ppanc. i to go niepokoi.

„Jacyś jeźdźcy zbliżają się z tyłu!” — krzyknął naraz któryś z żołnierzy. Zwróciły się tam głowy — rzeczywiście jadą, jest ich dwóch — porucznik artylerii z luzakiem.

Jedzie wyprostowany i rozgląda się uważnie, jakby czegoś szukał, wreszcie zsiadł z konia i oddał go luzakowi. Podszedł do piechoty i spytał, czy nie ma kto narzędzi do przycinania drutu. Był jeden taki, czarny, krępy, plutonowy, pochodzący z Wadowic, miał odpowiednie nożyce.

„Przetnijcie tę siatkę” — mówi do niego porucznik. Plutonowy podskoczył do płotu i tnie go nożycami z góry. Już jest .bliski końca swej roboty, gdy pada strzał z okna sąsiedniego domu i trafia go w prawy bok. Skoczyło tam kilku strzelców, wpadli do domu i po chwili wyrzucili przez okno dywersanta, którego przyłapali z bronią.

Porucznik artylerii wsiadł na konia i odjechał, ale wrócił niedługo, prowadząc działko 75 mm. Każe je zatoczyć do ogródka i ustawić tak, by mogło bić na most.

Gdy wszystko już było gotowe do strzału, zaszczekał nagle ckm. i z bliskiej odległości sychnął skośnie gradem pocisków po działko. Obsługa niemal w całości wybita lub ranna. Nietknięci tylko

porucznik i jeden bombardier.

Wtem krzyk nerwowy: — „Czołgi, na moście czołgi!”. Piechota strzela po nich, a one suną wciąż naprzód. Porucznik z bombardierem stają przy swym dziale, celują, ładują i bach, bach, bach. Czołgi już dalej nie idą, dwa rozbite zostały na placu, inne zawróciły, stwierdziwszy, że tędy nie przejdą. Porucznik otarł pot z czoła, zapalił papierosa, badawczo zlustrował przedpole i krzyknął: „Dawaj konie!”. Gdy przyszły, wskoczył na siodło, ruszył w stronę Niemców i lekko kłusując, podjechał do rozbitych czołgów i coś koło nich majstruje. Po pewnym czasie wrócił obwieszony „Handgranatami”. W ręce trzymał cały pęk okrwawionych kart pocztowych, gotowych do wysłania. Rozdał je piechociarzom. Smutna była ich treść, zawierały przeważnie ostatnie pozdrowienia. Widocznie przeczuwali ich autorzy, że spod Lwowa nie wrócą do Niemiec.

Kiedy rozmawiają o tych kartach, wyskakuje nagle spoza domów drużyna Niemców i zajmuje stanowiska ogniowe. Ppor. Hruby (z Mościc) każe otworzyć ogień. Z boku w rowie przeciwlotniczym, gdzie siedzi grupa Ślązaków, słychać komendę: „Bagnet na broń” i widać znaki, aby przerwać ogień, chcą się rozprawić z Niemcami na białą broń i rzeczywiście ruszają do szturm. Niemcy nie przyjmują walki, zwijają się na miejscu i wieją w stronę plotu, muszą go przeskoczyć, jeśli mają ,się uratować. Żadnemu się to nie udało.

Teraz kompania rusza naprzód, aby zająć domki na prawo od szosy, idzie dwoma grupami, jedna obchodzi je z lewej, druga z prawej strony. Gdy grupa lewa zbliża się do domów, wypada spoza nich oddział Niemców. Obie strony zaskoczone tym niespodzianym spotkaniem, stanęły i ^patrzą na siebie bezradnie, wtem Niemcy zawrócili w miejscu i runęli w kierunku, skąd przyszli. Tu jednak wpadają na drugą naszą obchodzącą grupę, zatrzymują się i spoglądają to w tę, to w tamtą stronę, widzą, że są otoczeni, ogarnia ich zwątpienie, powoli podnoszą ręce i idą do niewoli.

Przed wieczorem pierwsza kompania Obrony Lwowa wycofuje się do odwodu. Poniosła znaczne straty, jest ciężko ranny ppor. Hruby, po którym dowództwo objął podch. Kmieciak. Już podczas wycofywania się wali się na nich ogień artylerii. Zatrzymali się, aby przeczekać nawałę i obserwują samolot niemiecki na średnim pułapie — nasze baterie przeciwlotnicze otworzyły ogień i wkrótce samolot zapalony runął niedaleko.

Walki w tym rejonie trwały cały dzień. Niemcy opanowali cmentarz Janowski i południowe stoki Kortumowej Góry, doszli do ul. Kleparowskiej i już się zdawało, że wedrą się do środka miasta. Nadeszły nawet meldunki, że są koło kościoła św. Anny, czyli że zbieg ulic Janowskiej i Gródeckiej zajęty. W pewnym momencie dochodzili tam rzeczywiście, ale ostatecznie odrzucono ich przeciwnatarciem, w którym wziął udział również baon wartowniczy kpt. Suchorowskiego (?). Przewidując następne natarcia na tym kierunku i obawiając się broni pancernej, która w

czasie walki wyszła na ul. Janowską, postawiono dwie armaty 75 mm przy kościele św. Anny, z zadaniem zwalczania czołgów. Zostały one tam do końca obrony.



część II



SIŁY NASZE ROSNĄ.

Pierwszy impet Niemców został powstrzymany, zyskaliśmy czas, a ten czas mnoży nasze siły. Powstają szybko oddziały ochotnicze. Pplk. Grefner formuje pułk. Jeden jego baon składa się z Obrony Narodowej, drugi ze strzelców, kadetów, szkolnego P. W., z harcerzy. Jednym dowodzi kpt. Zieliński, drugim mjr. Majewski, d-cą komp. harcerskiej jest por. Czekański. Pułk jest słabo uzbrojony, przeważnie w „Lebelle”, bez broni maszynowej. Biję się on ofiarnie swymi częściami już od pierwszej chwili walki w rejonie ul. Gródeckiej, a następnie w rejonie Kortumowej Góry.

Zaopatrzenie tych oddziałów w mundury zorganizował prof. Bartel, którego można było spotkać w lokalu Związku Strzeleckiego przy ul. Jacka i wszędzie tam, gdzie formowano jednostki ochotnicze.

Gen. Januszajtis tworzy oddziały szturmowe do zwalczania czołgów. Staną one za barykadami, za węglami, w oknach domów, uzbrojone w butelki z benzyną, w granaty oraz broń maszynową i z najbliższej odległości będą bić w broń pancerną.

Każdego dnia nadciągają różne oddziały z zewnątrz. Przychodzą liczne baterie artylerii lekkiej, drugi dyon 6 pac. z mjr. Regułą i jedna bat. I. dyonu 6 pac., szwadron rez. 22. p. ul. z rtm. Szenkiem, szwadron K. O. P. i I. rez. p. p. z Wilna. Jest on niekompletnie uzbrojony, część kompanii nie ma nawet bagnatów. Przyszedł baon 48 p. p. z mjr. Szymańskim i co najważniejsze nadciąga 35 d. p. rez. z płk. dypl. Szafranem. Ucierpiała ona wiele podczas transportu od bombardowań lotniczych, a po wylądowaniu niektóre jednostki straciły kuchnie i tabory w ogóle. Napływają różne oddziały przeciwlotnicze. Trwa to przez cały czas obrony. Jeszcze 20. IX. przyszedł z Wilna transport art. plot. 40 mm.

Nie tylko w ten sposób rosą nasze oddziały. We Lwowie jest kilka tysięcy nieuzbrojonych rezerwistów, głównie Ośrodka Zapasowego 5 d. p. Największa ich część znajduje się na Cytadeli, inni mieszczą się w koszarach 14 p. ul. Jazłowieckich i przy ul. Piotra i Pawia. Nie było dla nich broni, ale broń ta zaczęła napływać, przywoziły ją pociągi na Podzamcze. Tak więc pplk. Smereczyński uzbroił na Cytadeli dwa baony, uzbrojono i inne oddziały.

Płk. dypl. Polniaszek, d-ca lwowskiej brygady O. N. organizuje szereg baonów. Poza tymi co weszły w skład pułku pplk. Grefnera, powstają baony O. N. mjr. Hornbergera, mjr. Smagowicza i kpt. Berezowskiego Józefa.

W dowództwie Obrony miasta melduje się mnóstwo oficerów, przychodzą pojedynczo i całymi grupami, między innymi stawili się zespół Wojskowego Instytutu Geograficznego. Wszyscy domagają się przydziału, każdy chce coś robić. Przybył również gen. Kukiel i objął dział komunikatów radiowych. Zgłaszających się oficerów wysyła się na odcinki, przydziela do oddziałów, poleca się im zbierać żołnierzy, blakających się po mieście itp. Tych zaś, co zbywali, grupowano w rezerwie oficerów.

Amunicji było wiele, ale znajdowała się ona w Hołosku Wielkim, które leży poza obrębem obrony. Drogę do niego rychło nam przecięto, mimo to posyłamy tam żywność i środki sanitarne, a przywozimy pociski. Coraz trudniej tam dojechać. W nocy z 16 na 17 kpt. Zieliński wysłany z 15 samochodami, musi objeżdżać wielkim łukiem przez Winniki, ale dociera do celu i nad ranem przywozi amunicję. Składy amunicyjne w Hołosku miały swoją załogę, mianowicie kompanię wartowniczą z kpt. Latawcem na czele i jedną baterię I. -dyonu 6 pac. Komendantem składów był kpt. Herchenreder, który bronił się samodzielnie i z dobrym skutkiem odpierał ataki Niemców. Podczas jednego z przeciwnatarć, w którym wzięli udział również i urzędnicy cywilni, zdobyto 9 motocykli i i samochód.

Wielka jest bieda ze środkami łączności. Oddziały ich przeważnie nie mają. Utrudnia to w wysokim stopniu współdziałanie artylerii z piechotą. Posługiwano się siecią telefoniczną miejską, ale nie zawsze to wystarcza. Dołożono więc wysiłku, by zebrać wszelkie środki łączności i zorganizować patrole, które rzucano tam, gdzie potrzeba tego wymagała najbardziej. Pracę tę wykonał bardzo energicznie pewien kapitan łączności.

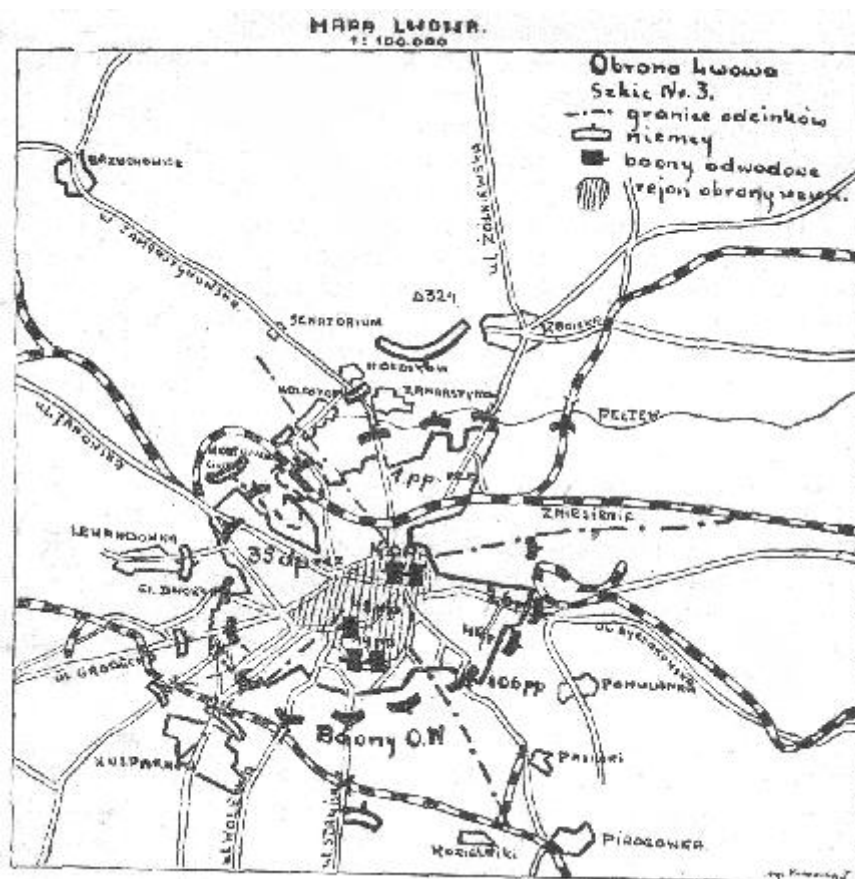
Kolejarze przystąpili do budowy pociągu pancernego, który by oczyszczał teren między Dworcem Głównym, a dworcem Podzamcze. Praca nie była łatwa, trzeba ją było prowadzić w warsztatach, wystawionych na ogień npla, a nawet na bezpośrednie ataki. Prowadzono ją z wielkim poświęceniem.

Praca sztabu była niełatwa w tych warunkach improwizacji, ustawicznych zmian, ciągłego przeorganizowywania

napływających jednostek, przesuwanie ich z odcinka na odcinek. Wśród pośpiechu i bałaganu trzeba było jakoś żywić to ciągle płynne wojsko, pozbawione przeważnie kuchen, trzeba je było zaopatrywać w amunicję i broń, która dopiero nadchodziła nieoczekiwanymi transportami, a nade wszystko trzeba się było bić tak, by Niemców nie wpuścić do miasta.

Sztab początkowo szczupły, powiększył się w dniach następnych, filarem jego był ppłk. dypl. Bieńkowski, który tu przyszedł po rozwiązaniu dowództwa gen. Pricha. Z całą energią i bez wytchnienia pracował mjr. dypl. Kossak, prowadzący od pierwszych dni trudne sprawy kwatermistrzowskie. Byli tu mjr. Kenbok, kpt. Kasperski, kpt. Trześniowski, adjutant gen. Sikorskiego, por. Grzybowski, por. Dulemba, oficerowie ordynansowi, p. Wojdanówna i wielu, wielu innych.

OBSADA ODCINKÓW. (Szkic Nr. 3).



Pierwotny szkielet obrony oparty na 9 punktach oporu, obsadzonych jednym baonem i 16 działami, wypełniał się w miarę napływania oddziałów. Początkowo wszystko, co było, wysyłano na zachodni odcinek, bo stamtąd szedł nieprzyjaciel, ale szybko trzeba było rozszerzać obsadę wobec ruchu okrążającego Niemców, szukających słabych punktów obrony. Już dnia 13 rano zjawilo się niebezpieczeństwo od strony

południowej. Wysłano tam więc baon Obrony Narodowej kpt. Berezowskiego z zadaniem zamknięcia szosy Stryjskiej i rejonu Wólki. U wylotu ul. Wóleckiej baon spotyka grupkę wojowników. Co są za jedni i co tutaj robią?

Wczoraj wieczorem, gdy zawrzała walka na zachodniej, stronie Lwowa, oddziały kadetów obsadziły natychmiast przedpole swojej szkoły. Dołączyła się do nich grupka żołnierzy z podchor. Zamorskim i kilku studentów. Ten oddziałek z ckm. zamknął ulicę Wólecką i, choć w nocy kadetów ściągnięto, pozostał na niej do rana, by nie puścić z tej strony dywizji pancernej do miasta.

Wysłano tam również baon marszowy 40 p. p. Nie był to baon normalny. Pułki 5 d. p. (19, 26 i 40), wyruszając w pole, zostawiły baony zapasowe, które miały wystawić baony marszowe i wysłać je w ślad za pułkami. Taki baon marszowy 40 p. p. otrzymał rozkaz obsadzenia dnia i3.IX. rano odcinka od ul. Snopkowskiej poprzez cmentarz Łyczakowski aż do ul. Łyczakowskiej (wyl.). Dowódcą jego był por. Hermann Włod., 7 komp. dowodził por. Meller Ludwik, 8 — por. Mager Karol, 9 — ppor. Czernik, a komp. c. k. m. — por. dr. Koczerski. Siła jego nie była duża, kompanie bo« wiem miały tylko po dwa plutony, a uzbrojona była jedynie połowa stanu. Baon ten obsadził wyznaczony mu odcinek i szuka łączności na skrzydłach. Na lewo znalazł punkt oporu przy rogatce Łyczakowskiej. Z prawego skrzydła melduje d-ca 8 komp., że w szkole technicznej natknął się na jakiś oddział, który wzbudził zazdrość u jego żołnierzy swoim wspaniałym wyglądem, był bowiem normalnie uzbrojony i wyekwipowany. Dowodził nim rzekomo kpt. Zajączek. Szukając łączności dalej na prawo, d-ca 8 komp. dobił się — jak melduje — aż do pplk. Mrazka (?), który miał swą kwaterę w szkole kadeckiej i dowodził odcinkiem południowym.

Dnia i4.IX. nowe oddziały wzmacniają obsadę odcinka wschodniego, który w tym czasie sięgał od Góry Jacka poprzez rogatkę na ul. Zielonej, cmentarz Łyczakowski, Brodzkie Góry - do Podzamcza (wyl.). Koło południa przychodzi baon 106 p. p., który wczoraj tak bardzo ucierpiał w okolicach Dworca Głównego i obsadza wysunięty punkt w Lasku Węglińskim na pld.-wschód od serpentyny ul. Zielonej. Nadchodzą też częściami oddziały baonu 26 p. p., który ma rozkaz w miarę obsadzania linii bojowej przez nowe jednostki, ściągać swe drużyny i plutony rozrzucone dookoła miasta na odcinek wschodni. Przysłano tu następnie lotniczą komp. wartowniczą, baon O. N. mjr. Hornbergera i baon O. N. mjr. Smagowicza Józefa. Natomiast wycofano w nocy z 14 na 15 baon 40 p. p. i odesłano go do koszar dla reorganizacji. W nocy 16/17 baon ten, po dokonanym uzupełnieniu stanów i broni, wysła 8 komp., której dowództwo objął kpt. Celiński z zadaniem obsadzenia cmentarza Łyczakowskiego. Kompania zajmuje stanowiska i nawiązuje łączność na lewo z i komp. 26 p. p., na prawo zaś przy kawiarni „Pohulanka" z oddziałem konnej policji, który później

rozpoznając na Pirogówkę, wykonał szarżę i poniósł duże straty.-

Początkowo dowodził na odcinku wschodnim pplk. Brzeziński, a gdy objął dnia 14.IX. rejon Kortumowej Góry, zluzował go mjr. Słepceki, który w ostatnich dniach oddał dowództwo plk. Kańczuckiemu.

Na wszystkich odcinkach zmieniały się początkowo oddziały dość często, ale wkrótce ustaliła się, następująca obsada (szkie Nr. 3) :

1. odcinek zachodni — 35 d. p. rez., grupa plk. Brzezińskiego i pułk pplk. Grefnera;
2. odcinek północny — I rez. p. p. z Wilna;
3. odcinek południowy — baony O. N. ;
4. odcinek wschodni — baon 26 p. p. i 106 p. p., baon O. N., lot. komp. wart. i inne.

Ponadto były w odwodzie: dwa baony na Cytadeli pod dowództwem pplk. Smereczyńskiego, baon 48 p. p. i O. N., 2 szwadrony kawalerii, kwaterujące w Podborcach, drobne oddziały cyklistów i inne. Niezależnie od tego dowódca korpusu miał w swojej dyspozycji dwa baony K. O. P. .

Artylerii zebrano się w mieście sporo. Została ona podzielona na dwie zasadnicze części. Jedna spełnia rolę dział ppanc. i ta jest rozstawiona w kilku rzutach na głębokość poza barykadami, druga część stanowi bezpośrednie wsparcie począwszy od dnia 15.IX. Jest pewien kłopot ze stanowiskami dla art. ciężkiej. Niekiedy trzeba ją wyciągać poza obręb obrony, by mogła wspierać niektóre odcinki. Dowódcą art. jest pplk. Landau, który pracuje z nadzwyczajną ofiarnością. W dość licznym jego sztabie jest mjr. dypl. Dawidowski. Przebieg walki stawia artylerii liczne zadania. Musi ona koncentrować ogień jak największej ilości dział rozprószonych po całym mieście i przerzucać go na coraz to inny przedmiot, a tu brak środków łączności. Żądania ognia przychodzą często i naraz z różnych kierunków. Artyleria stawia sobie za punkt honoru, by wykonać wszystkie stawiane jej żądania.

Od pierwszego dnia obrony są prowadzone intensywnie roboty saperskie. Opracowano plan barykad i zapór przeciwczołgowych, ale prace idą niezgodnie z tym planem. Dwie małe kompanie saperskie nie są oczywiście w stanie podjąć zadaniom. Przez radio wzywa się ludność do zbierania się w oznaczonych punktach. Zbiera się nielicznie i bez entuzjazmu, ale mimo to barykady rosną, powstaje ich mnóstwo wszędzie, gdzie trzeba i nie trzeba. Ludzie budują je samorzutnie i samowolnie, każdy na swojej ulicy. Wywołuje to chaos i stwarza duże trudności dla własnego ruchu. Niesposób opanować tego bałaganu.

Charakter przeszkód i ich wartość są różne. Jedne są solidne, większość bez wartości. Ludzie przekopują ulice, rozbierają

chodniki i wybierają kostki z jezdni, by z tego materiału robić barykady. Gdzie jest odpowiedni materiał w pobliżu, rosną porządne zapory. Powstają również barykady pozorne, wznoszone przez studentów politechniki.

Na samych odcinkach, bojowych oddziały z miejsca się wkopują lub przysposabiają domy do obrony. Początkowo okopy są byle jakie, ale szybko życie wprowadza poprawki.

LWÓW DZIAŁA ZACZEPNIE.

Niemcy okrążają miasto. Z odcinka północnego meldują, że w nocy z 13 na 14 i w ciągu dnia 14 silne oddziały nieprzyjaciela przesuwały się na wschód w stronę Zboisk. Stwierdzono, że są to części I. dywizji górskiej, a więc nowa wielka jednostka podeszła pod miasto. Z południa donoszą o ruchach piechoty i czołgów na Kozielniki, Sichów, Żubrzę. Pierścień niemiecki zacieśnia się coraz bardziej, tylko jedna strona wschodnia jest jeszcze wolna, ale niezupełnie bezpieczna. Droga na Winniki jest raz po raz przecinana przez motocyklistów niemieckich. Musimy ją oczyszczać, bo w Winnikach mamy część naszych taborów, zresztą jest to jedyna nasza droga w świat. Wysyłane patrole przyprowadzają stąd jeńców lub same motocykle. Nacisk na miasto się wzmacnia. Próby przełamania obrony od południa wywołują niejednokrotnie wrażenie, że położenie tam jest bardzo krytyczne.

Przyczyną tego wrażenia są alarmujące meldunki nadchodzące z różnych stron. Mówią one o wielkich koncentracjach czołgów i ruchu ich na miasto, o niebezpiecznych natarciach piechoty i opanowaniu już tych czy innych punktów. D-ca odcinka pplk. ... zapytywany w tych wypadkach o położenie, odpowiadał zwykle: "u mnie nic nadzwyczajnego. Niemcy nacierają, ale wcale nie idą zbyt odważnie. Czołgi? Tak, widać i czołgi, ale nie ma obawy, damy sobie radę". I rzeczywiście dawał sobie radę.

Niemcy nie zdołali na tym odcinku, jak zresztą na żadnym innym, przebić się do miasta i w ciągu 10 dni walki nigdzie go nie ugryźli; co więcej załoga miasta sama przechodzi coraz częściej do działań zaczepnych. Dowództwo obrony stara się wszystkimi sposobami rozbudzić wśród wojska ducha zaczepnego. Nakazuje więc i żąda od dowódców energicznego patrolowania i wypadów tak dziennych jak nocnych. Zaczyna to wchodzić w życie, ruszyły liczne patrole i wypadki. Przyprowadzono z nich jeńców i przynoszono cenne wiadomości oraz różne trofea.

Ppor. Markowski i Kętrzyński wysłani na rozpoznanie przez baon O. N., przynieśli dokładne informacje z południa. Idąc różnymi drogami, rozpoznali Kulparków, Żubrzę i stwierdzili w Sokolnikach obecność czołgów, a w Koziel-nikach silne oddziały piechoty. Zapadła więc decyzja zniszczenia Niemców w

Kozielnikach. Pplk. Smereczyński z całą ochotą przyjmuje propozycję wykonania wypadu nocnego. Wszystkie szczegóły zostały ustalone. Baon wyruszy z Cytadeli tak, by dnia 14 o godzinie 2.00 był już na miejscu. Uderzy od wschodu na bagnety, wyrznie Niemców i wróci na rano do miasta.

Gen. Sikorski Fr. nie chce się zgodzić na ten wypad, boi się, że w razie niepowodzenia może stracić odwód i mieć trudności w wykonaniu zadań obrony. Zgodził się jednak w końcu. Poszli. Rano meldują o wyniku działania; Niemców w Kozielnikach nie było, opuścili je po zapadnięciu zmroku.

W dwa dni później policjanci z Sichowa meldują, że jest tam 600 Niemców; potwierdzają to również meldunki patroli. A więc wykluć ich wypadem nocnym. Poszedł baon z Cytadeli, przeszedł wieś na wylot, nieprzyjaciela nie było. Okazało się, że Niemcy nie nocują w miejscowościach, które zajmują w ciągu dnia; widocznie boją się nocnych wypadów.

Zacięte walki powtarzają się codziennie w rejonie Kortumowej Góry, której obsada została wzmocniona oddziałami 35 d. p. i pułkiem pplk. Grefnera, przesuniętym dnia 16.IX. w rej. Kleparowa. By uchylić niebezpieczeństwo ciągle grożące z tej strony, płk. Szafran otrzymuje rozkaz odrzucenia Niemców z Kortumowej Góry. Organizuje więc dnia 15 natarcie, które pójdzie wzdłuż ul. Janowskiej, na Kortumową Górę i z Zamarstynowa na Hołosko Wielkie. Wywiązuje się zacięta walka, straty obu stron są duże, ginie d-ca baonu 35 d. p. Cmentarz przechodzi z rąk do rąk, wreszcie zostaje opanowany. Oddziały nasze dochodzą do samego szczytu góry, ale dalej nie mogą się posunąć. Niemcy pobudowali schrony na przeciwstoku i zorganizowali taką zaporę ogniową, że niesposób było ją przekroczyć. Nie zdołaliśmy zdobyć całej góry, ale poprawiliśmy wydatnie nasze stanowiska.

Na prawym skrzydle, w kierunku na Hołosko Wielkie ciężko walczył baon 19 p. p. pod dowództwem mjr. Majewskiego Romualda. Zajął on podstawę wyjściową na północnym skraju Zamarstynowa i rozwinął jedną kompanię okrakiem na szosie, drugą ppor. Kosmacza na prawo od niej, odwód zaś za lewym skrzydłem. O godz. 17.10 oddziały ruszyły i weszły na otwartą łąkę, którą chciały przeskoczyć jednym tchem, ale gdy tylko wypadły z zabudowań, rozszalał się ogień krzyżowy c. k. m. Jedne bijąc flankowe z Hołoska Małego, drugie na wprost z Hołoska Wielkiego, załwały dolinę pociskami. Największa ich nawala uderzyła w lewe skrzydło baonu, skrwawiła je mocno i przyduśiła do ziemi. Poprzez ten ogień nie posunie się naprzód. Więcej szczęścia miała kompania ppor. Kosmacza. Napotkała nie tak gęstą zaporę ogniową, więc przeszła łąkę, zostawiając na niej tylko trzech zabitych i kilku rannych, wpadła na cmentarz i zdobyła połud.-wschodni skraj Hołoska Wielkiego.

Stąd jednak nie może posuwać się sama naprzód, bo byłaby flankowana od strony wsi. W tej sytuacji d-ca baonu postanawia

zatrzymać natarcie, doczekać nocy i wypadem wysuniętej naprzód komp. por. Kosmacza, otworzyć drogę lewemu skrzydłu baonu. Zmieni ona kierunek północny na wschodni i uderzy z cmentarza na urząd gminny w Hołosku Wielkim, gdzie się mieści dowództwo niemieckie i gdzie jest uwięziona ludność wsi, a następnie wejdzie na tyły Niemców.

Kompania ruszyła około godziny 23.00, prowadzona przez gospodarza z Hołoska. Posuwa się cichutko w stronę wsi i już podchodzi do zabudowań. Tu się zatrzymuje na chwilę, ludzie zapadają w ogrodach, skupiają się w drożynach, wytężają słuch i wzrokiem chcą przebić ciemności, by wydrzeć im tajemnicę. Co tam jest w tych zabudowaniach, zaskoczą Niemców, czy spotkają ich przygotowanych? Cisza, aż dzwoni w uszach; słychać tylko bicie serc własnych, które mocno walą.

„Naprzód!” — podano szeptem rozkaz. Ruszyli jak cienie, już niedaleko, przejdą tylko ten ogród, przecisną się między stodołami, przekroczą podwórze i już ulica, a przy niej cel, na który uderzą. Starają się iść jak najciszej, ale nie zawsze się to udaje: jakaś przekłeta gałąź trzaśnie pod nogami, lub zabrzęczy kopnięty przypadkowo czerep.

Już są u celu, wychodzą przed urząd gminny.

„Angriff, Angriff — dochodzą stamtąd głosy i tupot licznych nóg. Skoczyli naprzód w tym kierunku, by dopaść ich bagnetem. Nagle przeszkoda, zatrzymał ich wysoki płot z drutu kolczastego, otaczający budynek, a za nim są Niemcy. Rzucono w nich granatami, ale tymczasem granaty niemieckie już wybuchają pośrodku kompanii. Rzucają je sobie w twarz, bo płot ich tylko dzieli. Szalony huk i trajkotanie broni maszynowej wypełnia powietrze. Niemcy nie zostali wcale zaskoczeni, jakby czekali na to uderzenie. Kompania musi się wycofać, bo gdziekolwiek próbuje uderzyć trafia na przygotowany ogień. Spływa dwoma grupami. Jedną prowadzi ranny ppor. Kosmacz na cmentarz, z którego wyszli, drugą podchor. Zamorski na Zamarstynów. Nie otworzyli drogi lewemu skrzydłu baonu.

Dnia 16 rano mjr. Majewski organizuje ponownie natarcie. Dwie kompanie w pierwszym rzucie ruszają wsparte ogniem artylerii, dochodzą do połowy łąki, leżącej między Zamarstynowem a Hołoskiem Wielkim i tu przygwożdżone szalonym ogniem, nie mogą się dalej posunąć. Ponoszą bardzo ciężkie straty. Już nie ma ani jednego d-cy kompanii. Kpt. Klewar zabity, por. dr. Lewicki ciężko ranny, ppor. Kosmacz ranny jeszcze w nocy.

W tym trudnym położeniu ogień naszej artylerii na południowy skraj Hołoska W. zapala zabudowania i wypędza z nich Niemców. Daje to nam moment dużych możliwości, ale niestety nie wykorzystano go, bo nie było nikogo kto by poderwał oddziały do szturm. Wszyscy oficerowie zginęli albo byli ranni. Dogodna chwila mija, Niemcy przechodzą do przeciwnatarcia i

odrzucają nasze oddziały na ich podstawę wyjściową. Powstaje wśród nich pewne zamieszanie, które mjr. Majewski z największą energią opanowuje. Ma on duże trudności, gdyż większość dowódców odpadła już z walki, wyznacza więc nowych spośród podchorążych i podoficerów, ale szczerb w szeregach niczym nie załata. Skoro tylko uporządkował oddziały, znowu je rzuca do natarcia i znowu na otwartej łące dopada je ogień niemiecki. W prawoskrzydłową kompanię wyrznęła potężna koncentracja artyleryjska przy jej wyruszeniu i tak ją rozbiła, że tylko strzepy u-dało się zebrać. Mimo wszystko dowódca baonu walczy z zaciętym uporem do zmięczenia, kiedy dostał rozkaz wycofania się z walki.

**

Dnia 18. Lwów podejmuje nową akcję zaczepną, tym razem na odcinku południowym. Według napływających meldunków Niemcy koncentrują się w rejonie Pirogówki i przygotowują tam jakieś stanowiska. Być może chodzi im o przecięcie ostatniej naszej linii komunikacyjnej na Win-niki, albo uderzenie na miasto od strony południowo-wschodniej. By im w tym przeszkodzić zapada decyzja uprzedzić nieprzyjaciela i rozbić jego przygotowania. Zadanie to wykona ppłk. Smereczyński dwoma baonami 40 p. p. i 19 p. p.

Baon 40 p. p. został w ostatnich dniach przeorganizowany, uzbrojony i uzupełniony szeregowymi i dowódcami. D-two baonu objął mjr. Gembarowicz, 8 komp. — kpt. Celiński, komp. c. k. m. — por. Jan Korzeń. Baon jest nowiuteńki, ale dotąd właściwie nie walczył. Baon 19 p. p. po stratach poniesionych w bitwie o Hołosko Wielkie, został tylko w części uzupełniony, ale jest już otrząskany w boju.

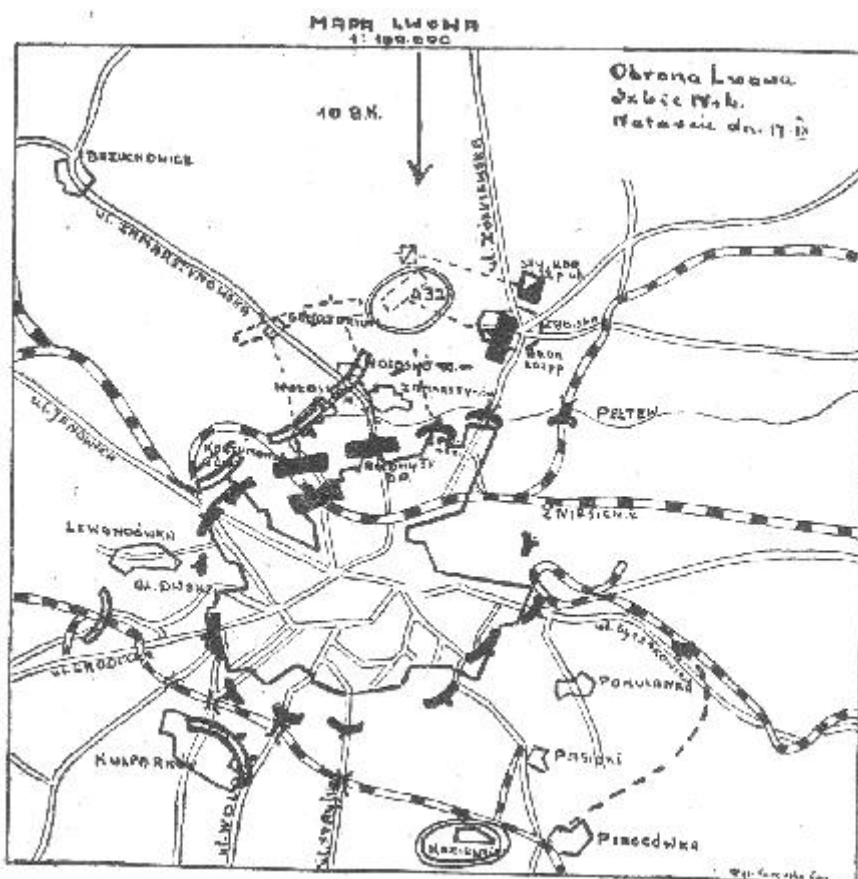
Obydwa baony wychodzą z miasta około południa, przechodzą przez stanowiska obronne, by na przedpolu zająć podstawy wyruszenia. Baon 40 p. p. idzie na Pohulanę i na południe od niej rozczłonkowany zapada w teren. Wysyła naprzód patrole, ubezpiecza się na boki i czeka na godzinę natarcia. Bije już po nim artyleria, gwiżdżą też z rzadka pociski karabinowe, ale bez wyraźnego skutku. Ludzie wykorzystują idealnie teren i z całą dokładnością przestrzegają zachowania się bojowego. Tak się właśnie złożyło, że przyjechałem zobaczyć akcję tego baonu. Błąkałem się dość długo na przedpolu, nim trafiłem na jego ślad, tak był zamaskowany. Wreszcie go dostrzegłem i idę w jego kierunku, pamiętając starym obyczajem, że nie bardzo wypada zbyt zwracać uwagi na . świszczące nad uchem pociski. Wywołałem tym, widać, powszechne zgorszenie, bo krzyczą do mnie zgodnie: „Hej ty łazik, psiakrew, jak chodzisz, schowaj łeb — to nie są manewry”. Zły im daję przykład, pomyślałem, i zacząłem też wykorzystywać teren.

Naraz zaszumiały motory samolotów, suną wolno nad naszymi oddziałami, lecą na niskim pułapie, są ciężkie, czarne, jakieś inne niż te, co nas codziennie zasypywały bombami albo

pociskami. „Nie strzelać” — idzie rozkaz od grupy do grupy — „to są bolszewicy”. A więc bolszewickie lotnictwo nad Polską, czego oni chcą tutaj ? — pytają się ludzie zdziwieni. Wtem drugi rozkaz: „Naprzód”. Natarcie ruszyło.

Baon 19 p. p. przeszedł w rejon Cetnerówki i jest dość daleko od baonu 40 p. p., ale natarcie będzie koncentryczne, więc w trakcie akcji zbliżą się do siebie. Baon 40 p. p. wykorzystując wąwozy, posuwa się na Pasieki Miejskie i stamtąd w kierunku Pirogówki, uderzy na nią od północy, zaś baon 19 p. p. oskrzydli npla od zachodu. Niemcy nie stawiają poważnego oporu, lecz wycofują się na południe. Już zmrok zapadał, kiedy ostatnie oddziały 40 p. p. wspinając się po stromych ścianach wąwozów, wyszły na pagórki i przeszły przez Pirogówkę. Nieprzyjaciel się wycofał. Nastąpiła noc, na zachodzie lony pożarne rozświetliły niebo. Właśnie płonie Sichów. Oddziały stanęły frontem do tego ognia. W ciągu nocy wrócili do Lwowa.

LWÓW POMAGA 10 B. K. (Szkic Nr. 4).



10 B. K. po walkach na zachodzie przychodzi dnia 13. do Żółkwi i otrzymuje od gen. Langnera rozkaz współdziałania z obroną Lwowa. Wysyła więc w stronę miasta rozpoznanie, które melduje, że npl obsadził wzgórze między Hołoskiem a

Zboiskami. Wskutek tego została przecięta droga zaopatrzenia brygady i jej łączność ze Lwowem.

Dowódca brygady ocenił siły npla na i kompanię z c. k. m. i zarządził wypad nocny z 14 na 15. Nie dał on wyniku, gdyż wykonano go niewystarczającymi siłami. Wobec tego dnia 15 zorganizowano natarcie części sił brygady na wzgórze Zamarstynowskie. Natrafiło ono na silny opór i zostało zatrzymane. Okazało się, że nieprzyjaciel jest znacznie silniejszy niż przypuszczano początkowo. Natarcie zidentyfikowało i dywizję górską, składającą się z 98, 99 i 100 p. p.

Dnia 16, dca 10. brygady organizuje uderzenie wszystkimi siłami. Lwów wesprze je ogniem swojej artylerii, szczególnie na wzgórzu 324. Natarcie rozpoczyna się wcześnie rano i idzie bardzo wolno. Nieprzyjaciel trzyma się twardo. Walka toczy się cały dzień, poszczególne przedmioty przechodzą po kilka razy z rąk do rąk. Trwa ona również w ciągu nocy z 16 na 17, straty są duże, obaj dowódcy pułków nacierających ranni, jednak wzgórze 324 nie zdołano zdobyć mimo wsparcia artylerii z miasta.

W tej sytuacji gen. Langner daje dnia -17 rozkaz załodze Lwowa uderzyć na północ, zdobyć wzniesienia zamarstynowskie wraz ze wzgórzem 324 i w ten sposób ustalić bezpośrednią łączność z 10 B. K.

Plan natarcia jest następujący:

- dwa baony 35 d. p. w pierwszym rzucie uderzą po osi Hołosko-Brzuchowice;
- baon 207 p. p. z mjr. Stylińskim natrze przez Zboiska na wzgórze 324;
- szwadron rez. 22 pułku uł. i szwadron K. O. P. wykonają ruch obchodzący z m. Podborce przez Malechów na północ Zboisk, nawiążą łączność z 10 B. K. i będą współdziałać z baonem 207 p. p.;
- I rez. p. p., obsadzający linię Pełtwi, zwiąże nieprzyjaciela od frontu;
- cała artyleria wesprze to działanie. (Szkic Nr. 4).

Natarcie ruszyło popołudniu. Lewe zgrupowanie zdobyło Hołosko Wielkie i już po zapadnięciu zmroku opanowało sanatorium na drodze do Brzuchowic.

Baon 207 p. p. jednym rozmachem zajmuje Zboiska i stąd kieruje się na wzgórze 324. Oba szwadrony przez Malechów dochodzą do Zboisk, spieszą j ą się tu i rozwijają do natarcia. Ppor. Szczek wspiera je plutonem c. k. m. Pierwsze uderzenie załamało się w ogniu nieprzyjaciela. Ginie ppor. Bniński, a ppor. Kercnowski jest ranny, obaj ze szwadronu K. O. P.

Zmieszane szwadrony cofają się do Zboisk, przegrupowują się i

znowu ruszają naprzód. Walczą ciężko w łączności z baonem 207 p. p. Strasznie trudno wyrzucić Niemców z pozycji umocnionej. Mają mnóstwo broni maszynowej i liczne moździerze. Natarcie mimo wszystko posuwa się naprzód i około godziny 17 baon 207 p. p. wdziera się na wzgórze 324, wchodzą tam również oba szwadrony.

Niemcy uciekają z licznych okopów, jakie tam pobudowali. W tym momencie zwala się koncentracja ognia artyleryjskiego na nasze oddziały — ponoszą duże straty, ale zdobyty teren utrzymują w swych rękach.

10 brygada, z którą nasza kawaleria nie nawiązała bliższego kontaktu, otrzymała przed wieczorem rozkaz odejścia do Stanisławowa. Wykonała go natychmiast. Już łączność z nią nie była potrzebna, więc w ciągu nocy nacierające oddziały dostały rozkaz spłynięcia z powrotem do Lwowa.

Nie wszystkie wróciły od razu, ostatni przyszedł patrol kompanii harcercskiej. Wysłano go wzdłuż ul. Janowskiej z zadaniem dostania się na tyły Kortumowej Góry i obserwowania, czy Niemcy nie przesuwiają się stamtąd na flankę naszego natarcia.

Prowadził go pchor. W. Jagiello. Bez trudu doszedł około godz. 16. do rogatki, ale tu zatrzymały go pociski, idące z Kortumowej Góry. Rekoszety odbite od jezdni warczą przejmująco. Chłopcy przywarli do ziemi. Pierwszy raz słyszą taką muzykę, robi na nich wrażenie. Chyba się trochę boją, ale trzeba iść naprzód. Ostrzeliwany odcinek drogi przebiegają po dwóch i szczęśliwie wszyscy zbierają się przy wiadukcie. Stąd idą na prawo torem i zatrzymują się w miejscu, skąd można obserwować północny stok góry. Tu pchor. Jagiello pisze meldunek, a gdy go skończył, pyta:

— Hej, chłopcy, kto odniesie ten meldunek do dcy kompanii ?

Cisza, nikt nie odpowiada. Chłopcy spoglądają po sobie, ale widać nie bardzo mają ochotę wracać w pojedynkę tą ostrzeliwaną drogą, którą tu przyszli, tymbardziej że ciemno się już robi.

— Więc nie ma ochotników? — pyta jakby zdziwiony.

— Jest — odpowiada jeden z chłopaków — ja pójdę.

— Znasz miasto, jesteś ze Lwowa?

— Nie, ze Śląska jestem.

— Trafisz?

— Pewno trafię — odpowiedział, wziął meldunek i poszedł. Chłopcy patrzyli za nim z jakimś zażenowaniem, bo czuli się

zawstydzeni, że ten Ślązak poszedł, choć nie zna miasta, a oni się ociągali ze zgłoszeniem się.

— Halo, Bernat, a wrócisz do drużyny? — rzucił ktoś za odchodzącym.

— Wróć — rzucił tamten krótko i znikł w ciemnościach. I rzeczywiście wrócił po pewnym czasie, ale nie sam, znalazł sobie kolegę, drugiego Ślązaka, nazwiskiem Pajestka i tu go przyprowadził.

Noc zapadła. Chłopcy widzą wybuchy pocisków na Kortumowej Górze, pewno strzela nasza artyleria — myślą. Wybuchy te posuwają się coraz bardziej na północ, wreszcie w ich rejon uderzyła jedna seria. Wycofują się za tor kolejowy i otwierają ogień w kierunku Góry, skąd zamajaczyły jakieś postacie. Ściągnęli tym na siebie ogień maszynowy. Około północy ruszyli w kierunku składów amunicyjnych na płn. od Hołoska i w kilku miejscach trafili na linie telefoniczne, które przecięli.

Wrócili do Lwowa przez Hołosko dopiero dnia 19.IX. rano. Przez dwie noce i jeden dzień grasowali na tyłach nieprzyjaciela.



część III



AKCJA NA BRZUCHOWICE.

Lwów, który ma być oparciem dla cofających się naszych wojsk, śledzi z wielkim zainteresowaniem działanie grupy gen. Sosnkowskiego. Z entuzjazmem przyjmuje wiadomość o rozbiciu na północ od Sądowej Wiszni pancernej dywizji i wiąże z tym zwycięstwem przesadne nadzieje

Ale potem przychodzą wiadomości inne:

Grupa walczy w lasach Janowskich, bije się tam z trzykrotną przewagą dnia 16 i 17. W nocy odchodzi na wschód. Dnia 19 rano osiąga Lasy Brzuchowickie, gdzie ją Niemcy zamykają. Próbuje przebić się do Lwowa, ale nie jest w stanie przełamać zapory niemieckiej. W tej sytuacji gen. Langner daje rozkaz - dnia 19.IX. koło południa przeprowadzić natarcie w kierunku Lasów Brzuchowickich, celem otwarcia drogi gen. Sosnkowskiemu do Lwowa. Organizuje je dca 35 d. p. rez., który postanawia:

- dwoma baonami w pierwszym rzucie uderzyć wzdłuż szosy na Brzuchowice;
- dla związania nieprzyjaciela na wzgórzach zamarstynowskich natrze baon 207 p. p. poprzez Kulików na wzgórze 324, przy czym współdziałać z nim będzie prawe skrzydło i p. p. rez., stojące nad Pełtwią;
- maksimum artylerii wesprze to działanie.

Natarcie ruszyło późno, około godziny 16. Wykonanie głównego zadania na drodze do Brzuchowic powierzył dca 35 d. p. rez. grupie pplk. Grefnera, która ani przygotowaniem, ani uzbrojeniem nie nadawała się do poważnej akcji. Z chwilą wyruszenia artyleria nasza otworzyła ogień na Zamarstynów. Od jej pocisków zapaliło się kilka zabudowań. Poprzez kłęby

dymów przedzierają się krwawe promienie zachodzącego słońca i mieszają się z czerwonymi językami płonących budynków. Oddziały nacierające przechodzą przez baon kpt. Mandisa, który przybył tu z Grodna i naprzeciw Zamarstynowa trzyma linię Peltwi. Żołnierze jego nie wiadomo dlaczego, zaczęli w tej chwili śpiewać:

"Czy przyjdzie nam umrzeć na polu, czy w tajgach Sybiru nam zgnieć".

Natarcie posuwa się powoli, opanowuje Zamarstynów i Hołosko Małe, z trudem wdziera się do południowej części Hołoska Wielkiego. Nieprzyjaciel wyprowadził czołgi. Oddziały nasze utknęły w Hołosku Wielkim.

Na prawym skrzydle baon 207 p. p. idzie ulicą Żółkiew-ską na podstawę wyjściową pod obserwacją lotniczą nieprzyjaciela. Szykuje się w trzy rzuty; 9. kompania na czele. Już ma ruszyć naprzód, gdy wali s-ię na nią gwałtowna koncentracja ognia artyleryjskiego i powoduje bardzo ciężkie straty.¹

Powstaje duże zamieszanie, ludzie uciekają z rejonu bitego przez pociski. Dca baonu wysyła następną kompanię, która przeskakuje łąkę i dociera do grupy domów przed Zboiskami. Baon rozwija się i posuwa się wolno na Zboiska. Na lewo od niego naciera prawe skrzydło i p. p. rez. wprost na wzgórze 324. Walka jest ciężka. Trwa do zmierzchu, przez całą noc i przez dzień następny. Postępy są nie wielkie, opór nieprzyjaciela wszędzie bardzo twardy.

Natarcie nie przebiło pierścienia niemieckiego i nie o-tworzyło drogi grupie gen. Sosnkowskiego, która naciskana przewagą, wyczerpawszy całą amunicję, konara w Lasach Brzuchowickich.

Dnia 20.IX. zameldował się w Dowództwie Obrony Lwowa mjr. Lityński Eugeniusz, dca baonu 49. p. p., który przerwał się do Lwowa z 17 ludźmi i przyniósł wiadomość, że grupa gen. Sosnkowskiego skończyła swe działania.

SYTUACJA W MIEŚCIE.

Lwów jest bombardowany od pierwszego dnia wojny. Codziennie rano zjawia się nad miastem samolot rozpoznawczy i krąży nad nim na dużej wysokości. Jest on zwiastunem nowego nalotu. Po pewnym czasie już słycać huk motorów i bombowce zrzucają swój ładunek. Przylatują ze Słowacji przynajmniej dwa razy dziennie. Obrona przeciwlotnicza robi co może, ale jest niewystarczająca. Mamy karabiny przeciwlotnicze, są i baterie dział p-lot, ale muszą odejść w pewnym momencie do dyspozycji Naczelnego Dowództwa. Używamy do tego celu również dział 75 mm. Wszystko to nie wystarcza jednak, by obronić miasto przed

zniszczeniem, choć zestrzelono pewną ilość samolotów. Wzięto przy tym do niewoli kilku lotników, którzy ratowali się na spadochronach. Niektórzy pochodzili z miejscowych Niemców — prowadzeni przez miasto szli dumni, pewni siebie, bezczelni.

We wszystkich częściach miasta od krańca po kraniec dymią rumowiska zawalonych domów. Całe miasto, wszystkie jego części są bombardowane, a niektóre punkty ze szczególną pasją. Cmentarz Łyczakowski zasypują bombami i biją po grobach dawnych obrońców Lwowa. Z uporem atakują rejon szpitali, wyszukują dworce, zakłady przemysłowe, koszary i urzędy. Nie zawsze jednak trafiają w zamierzony cel. Bomby wyrzucane na Dworzec Główny, często padają na ul. Gródecką, gdzie niszczą kościół św. Elżbiety i wiele domów mieszkalnych; przeznaczone dla Cytadeli rozbijają cerkiewkę przy ul. Kopernika i liczne domy przy ul. Supińskiego i Długosza; wycelowane na Dowództwo Korpusu, wyrządzają szkody w kościele Bernardynów i oo. jezuitów. Wiele jest zawalonych domów i dużych w środku miasta i małych na przedmieściach. Wiele z nich zagrzebało w swych gruzach mnóstwo kobiet i dzieci. Płoną liczne pożary, początkowo energicznie gaszone, a później zostawiane swemu losowi, gdy gasić nie było już czym. Czarne dymy unoszą się w różnych punktach nad miastem, a wiatr niesie po ulicach przykry swąd spalenizny.

Artyleria niemiecka poza normalnym wspieraniem walki bije systematycznie po mieście. Każdej nocy rzuca szereg nawał, a następnie przechodzi na ogień nękający. Co minuta jeden strzał. To czekanie na nowy pocisk jest bardzo nieprzyjemne i denerwujące. Wiadomo, że za chwilę przyjdzie, ale gdzie uderzy, do którego wpadnie pokoju, może właśnie tutaj...

Od tych bomb i od tych pocisków miasto bardzo cierpi. Straty dzienne określano na 300 osób ludności cywilnej. Wodociągi zostały zniszczone, brak wody, a więc niema czym gasić pożarów, których jest coraz więcej, nie można upiec chleba, choć mąki jeszcze nie brak. Kanalizacja nie funkcjonuje, co zatruwa tak powietrze, że nie można wytrzymać w mieszkaniach. Przestaje działać elektryczność, a więc brak światła, telefony nieczynne, urywa się naraz środek łączności bojowej. Telefony miejskie spełniały tę funkcję. Milknie radiostacja, jesteśmy odcięci od świata.

Sytuacja wewnątrz miasta staje się z każdym dniem cięższa. Życie coraz trudniejsze dla tej wielkiej masy ludzi, którzy tu nadciągnęli z całej Polski. Jeszcze od strony Winnik napływa trochę środków żywności, ale wraz z ludnością wiejską, która ją przynosi, wchodzi tą drogą szpiedzy i element wrogi. Czynniki wojskowy chce ją więc zamknąć, ale władze miejskie protestują, bo przecież to jedyna furтка, którą przynoszą mleko, jarzyny... Z pewnym trudem udało się usunąć ten konflikt. Wszystko to jednak nie potrafiło w żadnej mierze poderwać woli walki. Bijemy się i nie damy Niemcom Lwowa.

W sztabie Dłwa Obrony siedzą naprzeciw siebie dwaj oficerowie i rozważają położenie miasta. Jest ono ciężkie, perspektywa walki zaciemnia się coraz bardziej. "Więc co?" "Jak to co?" "Będziemy tu zdychali" — odzywa się Jeden z nich. "Wszystko jest bardzo proste. Każdy człowiek musi umrzeć — całe zagadnienie sprowadza się jedynie do pytania; trochę prędzej czy trochę później. My umrzemy tutaj, zagrzebiemy się pod murami miasta".

Ten drugi, a był to pplk. Bieńkowski, podniósł na niego wzrok, skierował go następnie gdzieś w bezkresną dal, zadumał się na krótką chwilę — pewno myślami wybiegł gdzieś tam w Lubelszczyznę, gdzie zostawił swoją rodzinę. Jakiś rachunek, widać, z sobą czynił, wreszcie się szybko otrząsnął i "tak jest", powiedział, " tu będziemy zdychali, nie ma o czym mówić, do roboty, bo czasu nie mamy za wiele".

Położenie Polski pogarsza się z dniem każdym, pogarsza się tym samym i położenie Lwowa. Coraz wyraźniej rysuje się świadomość, że obrona Jego nikomu już nie jest potrzebna. Nikt już nie będzie szukał oparcia o to miasto. Nikt już tu nie przyjdzie. Armia gen. Szyllinga spod Krakowa skierowała się w swoim odwrocie na północny wschód. Grupa gen. Sosnkowskiego już nie istnieje. Obrona, którą próbowano zorganizować nad Dniestrem, też się zlikwidowała. Lwów pozostał sam, wyspa odcięta od świata. Biję się osamotniony, odpięra natarcia 2. dywizji pańc. i l. dyw. górskiej, a prawdopodobnie i 3. dyw. pańc. Przez 10 dni ani razu nie pozwala wędrcę się im do miasta, co więcej, sam przechodzi do działań zaczepnych i ma na Cytadeli ponad 100 jeńców niemieckich.

Ale Niemcy koniecznie chcą zdobyć miasto, bardzo im na tym zależy. Kiedy siłą nie mogą tego osiągnąć, próbują i prośby i groźby. Dnia 18 przed południem przysyłają ultimatum. Zrzuca je lotnik. Treść jego taka: miasto otoczone ze wszystkich stron, nie ma dla niego ratunku. Załoga dała dowód bohaterstwa, honorowi stało się zadość. Po co przelewać dalej krew i narażać ludność na cierpienia i zniszczenie. Wzywają więc do poddania się. Obiecują zostawić oficerom broń boczną w dowód uznania za dzielną obronę. Grożą, że jeśli do południa dnia 19 nie nastąpi poddanie się — ogólnym i bezwzględnym szturmem miasto zostanie zniszczone.

Podobnej treści ulotki rozrzucono po mieście. Na to ultimatum Lwów odpowiedział milczeniem, bo nikt nie dopuszczał myśli o przerwaniu walki, ani o wdawaniu się w jakiegokolwiek rozmowy z Niemcami. Dnia następnego nie nastąpił generalny szturm, ale po silnych atakach ogniowych Niemcy przysłali oficera do roгатki Gródeckiej z propozycją spotkania się z przedstawicielem naszego dowództwa. Kazano mu odejść natychmiast. Po południu znowu stawił się na ulicy Gródeckiej parlamentarzysta niemiecki z prośbą, by go zaprowadzić do polskiego dowództwa. Odprawiono go z niczym.

Lwów rozmawia z Niemcami mową swojej broni. Ale przychodzi nowa klęska: bolszewicy wkroczyli do Polski.

BOLSZEWICY STANĘLI POD LWOWEM.

Dnia 18. IX. w nocy gen. Langner zarządził odprawę w Dowództwie Korpusu i przedstawił ogólną sytuację. Rząd i Naczelne Dowództwo przekroczyło granice Rumunii. Bolszewicy zbliżają się do Lwowa. Trudno ustalić dokładnie, gdzie są. Jest rozkaz nie walczyć z nimi, ale do miasta ich nie wpuścimy. Niedługo Lwów będzie zamknięty ze wszystkich stron szczelnie. Przytłoczy go ogromna przewaga. Wszelki dopływ amunicji i żywności zostanie przecięty.

Są projekty wyjścia z miasta i skierowania się na Węgry. Operacja trudna. Wojsko, które wrosło w teren, trzyma się, ale w czystym polu może się rozlecieć. My jesteśmy pieszo, a wróg na maszynach — tak Niemcy, jak i Moskale posiadają liczną broń pancerną. Wreszcie, jeśli wyjść, to w nocy, a więc z 19 na 20, bo trzeba czasu na zorganizowanie marszu, poza tym trudno w dzień wyruszać, bo przecież trzeba się będzie przebijać przez pierścień oblegającego wroga. Ponieważ jednak wypadki szybko lecą — nie wiadomo, czy w ciągu jutrzejszego dnia nie będą przecięte wszystkie drogi na południe.

Dnia 19. IX. rano bolszewicy stanęli pod Lwowem. Przyszli od strony wschodniej, od Winnik. Ostatnia droga w świat i po amunicję w Hołosku została zamknięta.

Wczesnie rano meldują z roгатki Łyczakowskiej, że przyszli tam oficerowie sowieccy i wzywają przedstawicieli Dowództwa Obrony Lwowa na rozmowy. Gen. Langner polecił pojechać płk. dypl. Rakowskiemu i mnie. Zabraliśmy mjr. dypl. Berkę, jako tłumacza ze sobą. Z trudem przebiliśmy się przez zatarasowane ulice do roгатki Łyczakowskiej. Tu stały już samochody panc. sowieckie, a przy nich tłum naszych nieuzbrojonych żołnierzy z koszar jazłowieckich. Kazaliśmy im odejść do koszar.

Jedziemy w stronę Winnik, mijamy mnóstwo wozów pancernych, stojących masą na polach i gromady żołdactwa lichy odzianego, o twarzach kanciastych. Wrażenie okropne — jacyś inni ludzie Wschodu przyszli tu do nas pod Lwów. Po co przyszli? Im bliżej Winnik, tym droga bardziej zatłoczona, tym postawa tłumu sowieckiego bardziej wyzywająca, zaczepna. Mijamy więc i na wschodnim jej krańcu spotykamy grupę oficerów czerwonych. Zatrzymujemy się. Informują nas, że tu powinniśmy zaczekać na ich generała. Czekamy, ale generał nie przyjeżdża, natomiast przybywa pik. Iwanów, mała, drobna figurka w kurcie i hełmie pancernym.

Rozpoczynamy rozmowę: "Pocście tu przyszli?" — stawia pytanie płk. Rakowski.

Nie daje odpowiedzi płk. Iwanów, ale nas pyta z kolei:

"Czytaliście przecież gazety?"

— "Nie, gazet nie czytamy, bo miasto jest otoczone i gazety do niego nie dochodzą".

— "To może słyszeli wy przez radio, co się dzieje?"

Rozumiemy dobrze, że pułkownik sowiecki nawiązuje do mowy Mołotowa i ulotek, zrzuconych przez ich samoloty na miasto, w których wzywali do mordowania oficerów, panów, burżujów, kapitalistów. Rozumiemy dobrze, że ten rycerz czerwony nie ma cywilnej odwagi powiedzieć wprost tego, że przyszli jako wrogowie, jako najeźdźcy i sojusznicy Hitlera, że to go przecież zawstydzają.

Rozumiemy to wszystko, ale odpowiadamy: "Radio u nas nie działa, bo bomby niemieckie rozbiły elektrownię. Więc po coście tu przyszli? "

Płk. Iwanów kręci się, wreszcie odpowiada: - Przyszli my bić Niemców, będziemy z wami przeciw nim wojowali.

Jeśli tak, to bardzo dobrze, odzywa się płk. Rakowski. Pokazujemy na mapie, jak Niemcy są rozmieszczeni, jak najlepiej byłoby uderzyć na nich i jak załoga Lwowa mogłaby współdziałać z nimi. Udajemy, że wierzymy w ich sowieckie oświadczenia.

— Ale my chcieliby wejść do miasta, — odzywa się naraz Iwanów.

— To jest niemożliwe. Nie mamy pełnomocnictw takich, by mówić o waszym wkroczeniu do miasta. Zresztą, po co wam to? W mieście nie ma wcale miejsca, nagromadziło się tam mnóstwo ludzi, brak wody, na ulicach co krok barykady, jakże wy tam wjedziecie z waszymi maszynami.

— A może by tak my -dostali punkty obserwacyjne w mieście dla artylerii — rzuca któryś sowieciarz. Punkty obserwacyjne? Można o tym pomyśleć.

— Artyleria ciężka u was jest? — pada nowe pytanie.

— Jest, naturalnie.

— A mnogo tej artylerii ?

— O, tak, sporo.

— No, ale do miasta, to my by chcieli wejść koniecznie, nasz generał będzie się tego domagał.

— Na ten temat nie będziemy mówili — odpowiadamy i zabieramy się do odjazdu.

Bolszewicy wyjaśniają, że ich generał jest dzisiaj zajęty i dlatego nie mógł przybyć, ale na pewno będzie chciał prowadzić dalsze rozmowy. Proponujemy więc pozostawienie oficera łącznikowego, przez którego będą się mogli porozumiewać z dowództwem Lwowa. Zostanie mjr. dypl. Berka Waclaw. Będzie mieszkał w ostatnim białym domku na wschodnim skraju wsi i tam go zawsze znajdują. Ale mjr. Berka musi jeszcze pojechać do Lwowa, by zabrać najniezbędniejsze przedmioty do życia i zaraz tu wróci. Tak się stało. Wróciliśmy do miasta i złożyliśmy meldunek gen. Langnerowi z przebiegu naszej misji.

Obsada wschodniego odcinka została wzmocniona. Jest rozkaz odeprzeć bezwzględnie każdą próbę sowiecką wdarcia się do miasta. Bolszewicy tu i ówdzie podchodzą pod nasze pozycje, ale nie uderzają. Dokonują jakichś przesunięć i przegrupowań. U Niemców obserwujemy też ruchy, idą stroną południową na wschód w kierunku Winnik. Wreszcie słyszymy stamtąd odgłosy walki. Jakaś artyleria strzela do niemieckich samolotów. Na Cytadeli znajdujemy rozpryski sowieckich pocisków przeciwlotniczych. Coś się dzieje niewyraźnego. Jedno jest pewne: obaj wrogowie zabiegają gwałtownie o wejście do miasta.

Na froncie walki wszystko idzie normalnie. Dnia 20. lotnictwo bombarduje centrum miasta. Oddziały, które poszły do natarcia dnia 19. przed wieczorem, powoli spływają do Lwowa, artylerja nieprzyjaciela strzela intensywniej niż zwykle, patrole nasze idą w różnych kierunkach.

Ale na froncie wewnętrznym Lwowa zachodzą przemiany. Ludzie zdają sobie sprawę z beznadziejności położenia. Teraz, kiedy bolszewicy przyszli z taką masą broni pańc., kiedy pod Lwowem złączyły się ich siły z Niemcami i zacisnęły obręcz oblężniczą dokoła niego, miasto nie wytrzyma długo. Zbliży się koniec tragiczny.

Nie dziś, to jutro wejdzie ktoś do miasta, ale kto? W obecnej chwili może ono o tym zdecydować. Wszyscy wierzą, że ta okupacja, której widmo zawisło nad nimi, nie potrwa długo, wierzą, że coś się stanie, że zjawią się jakieś siły, przyjdzie jakaś moc, która znowu przywróci ginącą niepodległość. Polska będzie wolna i to niedługo, na pewno w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Teraz jednak wróg zajmie to miasto, ale kto, Niemcy, czy bolszewicy? Zależy to od nas.

Na ten temat idą rozważania. Jedni uważają, że korzystniejsza będzie dla miasta okupacja niemiecka. Boją się bolszewików, boją się tych ludzi Wschodu, ich dzikości, ich komunizmu, ich psychiki i moralności tak bardzo obcej ludziom z Zachodu. Drudzy są zdania, że raczej bolszewików należałoby wpuścić. Uzasadniają to różnie:

— Niemcy złupią miasto, a później i tak oddadzą je bolszewikom.

— Niemcy rzucą na Polaków Ukraińców, których w tym celu już zmobilizowali.

— Z Niemcami prowadzimy wojnę, .a więc nie możemy rozmawiać z nimi.— Rosja jest bogatym krajem rolniczym, więc nie będzie zabierać stąd żywności, jakby to zrobili Niemcy itd. itd.

Takie się toczą rozmowy wśród ludności, która tak bardzo cierpi w oblężonym mieście, a walka idzie normalnie. Aż późnym wieczorem dnia 20 zaszedł wypadek nieoczekiwany. Dwa duże czołgi sowieckie nagle uderzyły na barykady na ul. Łyczakowskiej, zaskoczyły obsadę i strzelając z dział w okna domów na prawo i lewo, poszły wzdłuż Łyczakowskiej, przeszły przed Dowództwem Korpusu i skierowały się na ul. gen. Rozwadowskiego, przy której było Dowództwo Obrony miasta. Następnie zawróciły i wyszły tą samą drogą z powrotem. Wydarzenie to wywołało konsternację. Okazało się, że nasze barykady nie są przeszkodą dla dużych czołgów sowieckich. Niejasny był cel, dla którego bolszewicy wykonali tę demonstrację.

Wczesnym rankiem 21. IX. telefonują z rogatki Łyczakowskiej, że przybyli tam oficerowie sowieccy i wzywają przedstawiciela naszych sił na rozmowy. Gen. Langner polecił mi pojechać. Zabrałem jakiegoś majora jako tłumacza, sporządziłem białą chorągiew z prześcieradła i kija od miotły i ruszyłem w stronę Winnik. Gdy minąłem naszą barykadę, spostrzegłem za zakrętem dwa samochody pancerne na drodze, a w rowach po obu jej stronach piechotę z nastawionymi bagnetami. Podoficer z rewolwerem w garści nerwowym ruchem dał znać, aby się zatrzymać, a następnie, aby wysiąść z wozu. Wysiedliśmy, widzę jak działo jednego samochodu pańc. kieruje się na mnie, drugiego zaś na majora. Podoficer jest tak podniecony, że można było mieć obawę, iż strzeli z nadmiaru emocji z rewolweru, który trzymał kurczowo w drżącej ręce, wzywa nas do oddania broni, Sięgam po rewolwer — w tym gwałtowny krzyk protestu. Okazało się, że nie wolno dotykać broni, ale trzeba ją oddać wraz z pasem. Bardzo mi się nie podobała ta operacja — ale zdejmuję pas. Teraz następuje rewizja szczegółowa naszego „lazika". Pytam się, czego szuka, przecież jest nas dwóch tylko i jedziemy w sam środek ich wojska. Nie daje odpowiedzi, ale podnosi siedzenia i zagląda do każdej dziury. Wreszcie gotowe, pozwala nam odjechać. Mówię mu, by jechał z nami, bo nas na pewno będą zatrzymywali inni. Nie pojechał.

W Winnikach mijamy tłumy żołdactwa, próbują nas zatrzymać, są napastliwi, bezczelni, arogancy. Na końcu wsi, w miejscu, w którym było spotkanie przed dwoma dniami, stoi grupa oficerów. Zatrzymuję się. Czekają na nas, ale generała ich nie ma. Przyjedzie, zapewniają mnie. Tymczasem rozpoczynają dyskusję na tematy społeczne i polityczne — mają pretensje, że nie zawarliśmy z nimi sojuszu, jaki nam proponowali, że

uciskamy lud pracujący itd. itd.

—Nie przyjechałem tu, by dyskutować z wami na podobne tematy, odpowiadam, a oni na to — a dlaczego wczoraj nikt nie przyjechał na rozmowy: Wy myśleli, że my się przestraszymy ?

— Jakto? — pytam, — przecież myśmy tu zostawili naszego majora, w tym białym domku miał mieszkać, gdzie on jest?

— My nie wiemy, jego tutaj nie ma.

Co oni z nim zrobili, może go wywieźli, może go zabili, trzeba^ to koniecznie wyjaśnić — takie myśli przebiegają mi po głowie. Patrząc na te nienawistne twarze i myślę, że tacy ludzie wszystko mogą zrobić. A oni wcale nie są wobec mnie tak grzeczni, jak byli podczas pierwszego spotkania.

—Gdzie on jest?—pytam stanowczo. Oni nie wiedzą. Po pewnym czasie podchodzi do mnie oficer o trzech kwadratach na kołnierzu, człowiek sympatyczny — i mówi, że mjr. Berka rzeczywiście przyjechał 19.IX. Przybył w momencie, gdy Niemcy podeszli pod Winniki i kierując się na północ, przecięli sowieckie oddziały rozciągnięte wzdłuż szosy. Wtenczas — powiada — uderzyliśmy na nich i odrzucili ich na zachód. Ale wasz major nie zginął w czasie tej walki, jego ciała my nie znaleźli. Może Niemcy wzięli go do niewoli. Oficer, który dał mi to wyjaśnienie, nazywał się Suworow.

Po pewnym czasie przyjechał płk. Iwanów. Rozmowa z tym zupełnie nieinteligentnym człowiekiem była taka sama jak za pierwszym spotkaniem. On mówił o wejściu do miasta, ja odpowiadałem, że na ten temat nie mogę prowadzić rozmów, wreszcie zaproponowałem, że najlepiej będzie, jeśli się spotka ich generał z naszym generałem.

Przejechaliśmy na zachodni skraj wsi, gdzie miałem otrzymać mój pas i rewolwer. Tu kończymy rozmowę na temat spotkania się generałów. Bolszewicy dają nam na ten cel godzinę czasu. Tłumaczę im, że to niemożliwe, że przebiec przez zabarykadowane miasto jest bardzo trudne, staje na tym, że gen. Langner przybędzie za półtorej godziny, ale gdzie? Oni chcą, by przyjechał do Winnik, ja proponuję roгатkę Łyczakowską. Kiedy dobijamy targu, pada koło nas pocisk artyleryjski, następnie 'drugi i trzeci. Oficerowie bolszewicy runęli do rowu, jakby w nich piorun strzelił. Stoję na drodze i patrzę na nich z pogardą. Jeden z bolszewików podnosi głowę, spotykają się nasze spojrzenia, wydaje mi się, że wyczytał, co myślę o nich w tej chwili. Podnieśli się, wtem zaświszczały nad nami pociski c. k. m. Uchodźmy, uchodźmy stąd, wołają i biegną za najbliższą wyniosłość terenową. A od strony Lwowa dochodzi wrzawa bitewna.

— Co to "jest? To wasi strzelają — zwracają się do mnie z

wyrzutem.

— Tak, nasi — odpowiadam, — jest wojna, miasto się broni, kto podchodzi pod stanowiska obronne, musi się natknąć na ogień. Wasi tam podeszli, nie nasi przyszli do was.

Natężenie ognia się wzmacnia i rozszerza coraz bardziej.

— No, co teraz będzie? — odzywa się płk. Iwanów.

— Tam poszły wasze czołgi i wasza piechota — mówię mu — musicie dać rozkaz do wycofania się, przecież macie radio. Inaczej walka nie ustanie.

— Tak, — odpowiada Iwanów, — ja jadę do dywizji, by stamtąd nadali rozkaz przez radio.

Odjechał, chcę i ja odjechać, ale czekam na ustanie walki. Nie tak to łatwo jednak gaśnie raz zacyty" ogień. Niech sobie strzelają — myślę, siadam do łazika i wracam do Lwowa. O określonej godzinie stawiliśmy się z gen. Langnerem za rogatką Łyczakowską. Przybyli bolszewicy, ale generał ich nie przyjechał. Nie było z kim rozmawiać, więc tylko ustalono, że w tym samym miejscu nastąpi spotkanie dziś o godzinie 17.00.

Spotkanie to rzeczywiście doszło do skutku. Byliśmy już na miejscu z gen. Langnerem, kiedy nadjechały samochody sowieckie. Z pierwszego wysiadł generał, wysoki, flegmatyczny, człowiek, innego — widać — pochodzenia niż otaczająca go grupa oficerów o pospolitych wschodnich twarzach. Tuż za nim trzymał się jakiś komisarz—do którego generał często się zwracał w sposób dyskretny, albo on coś szeptał generałowi do ucha. Przywitanie było nieszczerze, czuć w nim było jakieś zażenowanie. Sowietarze mieli miny pełne życzliwości, żeby nie powiedzieć przyjaźni.

Generał sowiecki zapewnia uroczyście wszystkim znajdującym się we Lwowie bezpieczeństwo życia, prawo własności prywatnej, swobodę ruchu, oraz pozostawienie dotychczasowych władz miejskich i żąda wpuszczenia jego wojsk do miasta. Stawiamy pytanie, jak mamy rozumieć swobodę ruchu, czy będziemy mogli pójść do Rumunii i Węgier. Tak jest, odpowiada generał, a całe jego otoczenie potakuje i kiwa głowami, chcąc potwierdzić, że jest to całkiem naturalne. Tylko jedno zastrzeżenie — nie mogą dać gwarancji, że nas tam wpuszczą. Odpowiadamy, że takiej gwarancji nie wymagamy. ,

W tym momencie zgrzyt: na pobliskim wzniesieniu, tam gdzie stoi nasze działo i grupa piechoty, gromadzą się czerwonoarmiejcy, przybliżają się do naszego punktu oporu (jest zawieszenie broni) i naraz rzucają się na działo, chcąc je zabrać. Gen. Langner pokazuje, co się dzieje.

Zwrócono nam działo.

— A więc wpuscicie nas do miasta? — pada pytanie.

Gen. Langner odpowiada, ciężko mu to idzie. Mówi, że Lwów mógł zdecydować, kogo wpuścić w swoje mury — Niemców czy bolszewików. Z Niemcami prowadzimy wojnę — miasto biło się z nimi zwycięsko przez 10 dni. Oni Germanie, wrogowie całej Słowiańszczyzny. Wy, — powiada — jesteście Słowianie...

To przypomnienie słowiańskości, jakby kamień wyrzutu uderzyło w czerwonego generała, zrobił dziwny grymas, który się powtórzył znowu, gdy gen. Langner po raz drugi zaliczył bolszewików do rodziny słowiańskiej. My Słowianie, wolimy oddać miasto Słowianom, zakończył generał Langner.

Teraz przychodzą szczegóły. Wojsko wyjdzie z bronią i rzucać ją będzie w określonych' punktach — proponują. Nie, wojsko nie będzie rzucać broni — mówi gen. Langner, — zostawi ją tam gdzie stoi, a wyjdzie bez broni. Tak sprawy stanęły, że szeregowi wyjdą na zewnątrz miasta jednymi drogami, a oficerowie ul. Łyczakowską, policja opuści miasto również. Za miastem każdy będzie mógł pójść w swoją stronę.

Gen. Langner porusza sprawę wyżywienia szeregowych. Jest wielu ludzi z dalekich stron, z Wileńszczyzny np., trzeba ich zaopatrzyć na drogę, bo będą rabowali. Obiecuje wydać żywność na dwa dni. Bolszewicy manifestują swoje zadowolenie i zapewniają, że takie postawienie sprawy da im możliwość uregulowania dalszego wyżywienia bez żadnych uchybień.

W ciągu nocy obie strony sprecyzują na piśmie warunki kapitulacji, a jutro rano nastąpi spotkanie, celem ustalenia tekstu. W tym już nie brałem udziału.

Przyszedł czarny dzień 22 września. Przeczytaliśmy rozkaz gen. Langnera, nakazujący złożenie broni i wyjście z miasta. Oficerowie wyruszą przed Dowództwa Korpusu.

Jestem w Dowództwie Obrony Miasta. Załatwiam liczne sprawy — gromadzi się mnóstwo oficerów, podniecenie duże, buntuje się dusza żołnierska. Jakiś kapitan łączności krzyczy: Jaktó, przyszedłem tu z Poznania, przyprowadziłem moich ludzi, wierzyli mi, a teraz składać broń?...

Wszystko się zawałilo i wszystko zawiodło. Nie mogliśmy nawet dotrzymać postanowienia, że tu się zagrzebiemy w bezwzględnej walce z Niemcami.

Płk. Fijałkowski każe mi przemówić do zebranych. Mówię, a głos mi więźnie w gardle, co mówić? Wiem tylko jedno, że przyszło straszne nieszczęście, ale Polska się jeszcze nie skończyła, jeszcze będziemy potrzebni, jeszcze będziemy się bili i

w tym jest istota rzeczy, że trzeba iść, aby się bić dalej.

Koło południa w mieście już są bolszewicy i rozbijają naszych oficerów, licznie zgromadzonych przed Dowództwem Korpusu.

Żołnierze oszołomieni składają broń, rozpacz wyziera im z oczu i coś ich ściska za gardło. Milczą, trzymają się, ale ten i ów nie wytrzymał, Izy lecą mu ciurkiem, płacze jak dziecko skrzywdzone. Koniec. Nie, jeszcze nie jest koniec. Jeszcze... Nie wie żaden, co i jak się stanie, ale ro czuje, że jeszcze będzie tę Polskę budował, bić się za nią będzie.

Maszerują bezbronne kolumny przez miasto, w różne kierują się strony. Wielka kolumna oficerów idzie ul. Łyczakowską — na ulicy roje obcego żołdactwa z nastawionymi sztykami, zatrzymują, rozbijają, pokrzykują. Ludzie stoją na chodnikach i patrzą z przerażeniem w oczach, a gdzieś z drugiej strony miasta dochodzi trą j kot c. k. m. i wybuchy pojedynczych wystrzałów armatnich. To Lwów protestuje przeciw wkroczeniu czerwonych. Poszczególne grupki biją się do końca.

Żeby tylko wyjść z tego miasta, żeby znaleźć się jak najprędzej tam, skąd nam będzie otwarta droga w cały świat. Wyszliśmy, ale za nami ciągle idą bolszewicy, otaczają kolumnę, pilnują i pędzą dalej i dalej na wschód. Więc jak to, jesteście jeńcami? Za to nas biorą do niewoli, że biliśmy się z Niemcami? Przecież umowa... Tak, ale z bolszewikami. Więc kłamali, zapewniając uroczyście swobodę ruchu, więc nie dotrzymują umowy? Nie dotrzymują żadnego jej punktu — to są bolszewicy.



wersję sieciową opracował
Roman Antoszewski
Titirangi, Auckland, Nowa Zelandia
kwiecień 2005